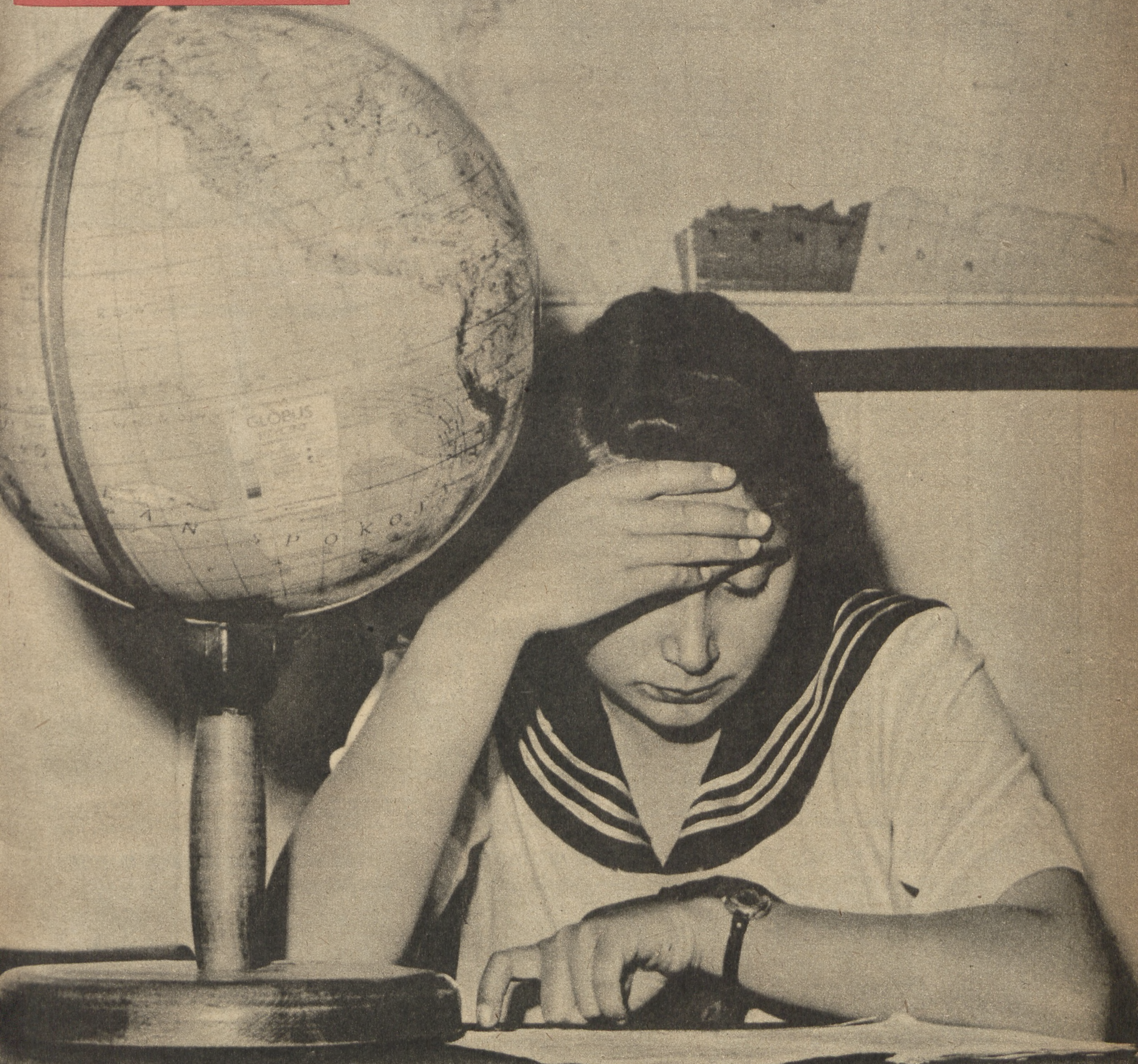


# ŚWIAT



**10 MINUT DO NAMYSŁU...**

...I TRZEBA BĘDZIE ODPOWIEDZIEĆ NA WYLOSOWANE PYTANIA. CZYTAJCIE NA STR. 5 NASZ REPORTAŻ Z EGZAMINU DOJRZAŁOŚCI WE WSI KOŁACZYCE KOŁO JASŁA.

Fot. „Świat” — J. Kosidowski

Nr 24 (47) — Rok II

15 CZERWCA 1952

CENA 1<sup>20</sup> ZŁ

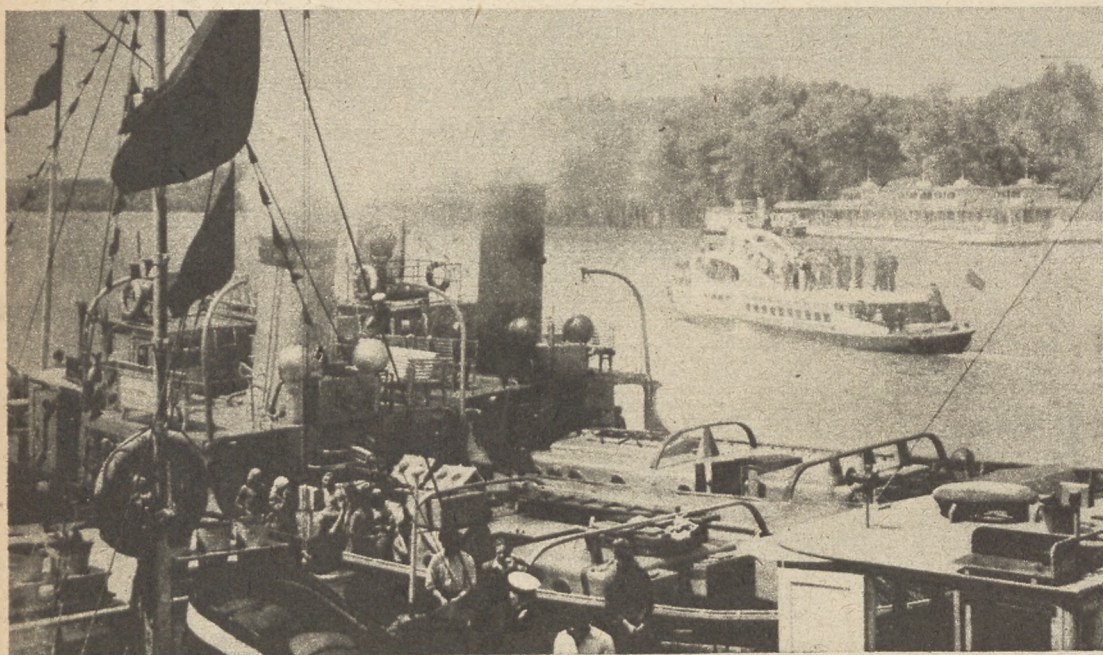


## 8 ROCZNICA BITWY W LASACH JANOWSKICH



Osiem lat temu, w dniach 10 — 25 czerwca 1944, bohaterscy bojownicy Armii Ludowej stoczyli z hitlerowcami wielką bitwę w lasach janowskich. Akcje bojowe AL wiązały duże jednostki wojsk hitlerowskich, przyspieszając tym samym wyzwolenie naszego kraju przez Armię Radziecką. Na zdjęciu: zwiedzający wystawę „X-lecie PPR” oglądają historyczne materiały o walkach AL.

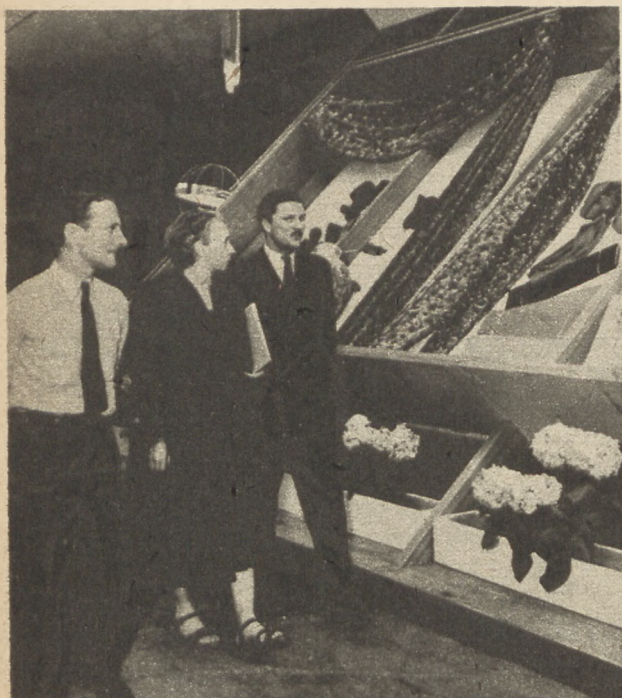
## KANAL WOŁGA-DON CZYNNY



SIB

Z każdym dniem rośnie ruch statków i barek towarowych na niedawno otwartym Kanale Wołga—Don. Nasze zdjęcie przedstawia przygotowane do rejsu statki u wejścia do Kanalu od strony Wołgi

## Z MIĘDZYNARODOWYCH TARGÓW W PARYŻU



Irena Joliot-Curie zwiedziła pawilon polski na Międzynarodowych Targach w Paryżu (17. V. — 2. VI. 1952).

## RIDGWAY DO AMERYKI!



U.F.P.

W zakładach Renault w Paryżu odbyła się potężna manifestacja załogi przeciwko przyjazdowi gen. Ridgwaya.

## 50-LECIE TWÓRCZOŚCI ZOFII NAŁKOWSKIEJ



CAF

Z okazji jubileuszu 50-lecia twórczości Zofii Nałkowskiej, Minister Kultury i Sztuki, S. Dybowski, udekorował znakomitą pisarkę Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu „Odrodzenia Polski”.

## DOM WYPOCZYNKOWY ROBOTNIKÓW ROLNYCH



CAF

W Warszawie otwarto przy ul. Krakowskie Przedmieście dom wypoczynkowy dla robotników ze wsi i małych miasteczek, którzy podczas siedmiodniowych turnusów wczasowych zwiedzają Stolicę.

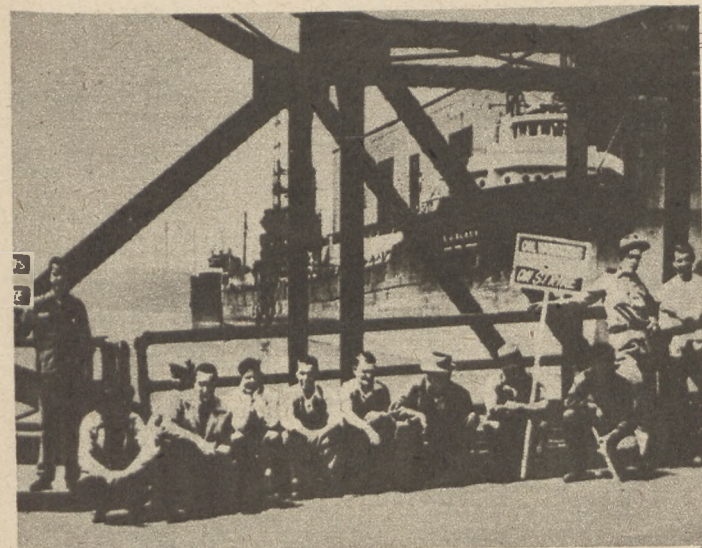
## NA ROZKAZ AMERYKAŃSKICH WŁADCÓW



Podczas wizyty Ridgwaya policja francuska otworzyła ogień do tłumów manifestujących w obronie pokoju.



## STRAJK NAFTOWCÓW W USA



U.F.P.

Pomimo represji ze strony władz amerykańscy robotnicy przemysłu naftowego ogłosili strajk, który trwał kilka tygodni.

## DEMONSTRACJA LONDYŃSKICH PRACOWNIKÓW HANDLU



Henry Grant

Członkowie londyńskiego związku pracowników handlowych demonstrowali na Fleet Street wyrażając solidarność ze strajkującymi towarzyszami — personelem sklepowym.

## KONGRES BEZROBOTNYCH W HADZE



Henry Grant

Uczestnicy kongresu bezrobotnych, który odbył się niedawno w Hadze, zorganizowali wielkie manifestacje na ulicach miasta.

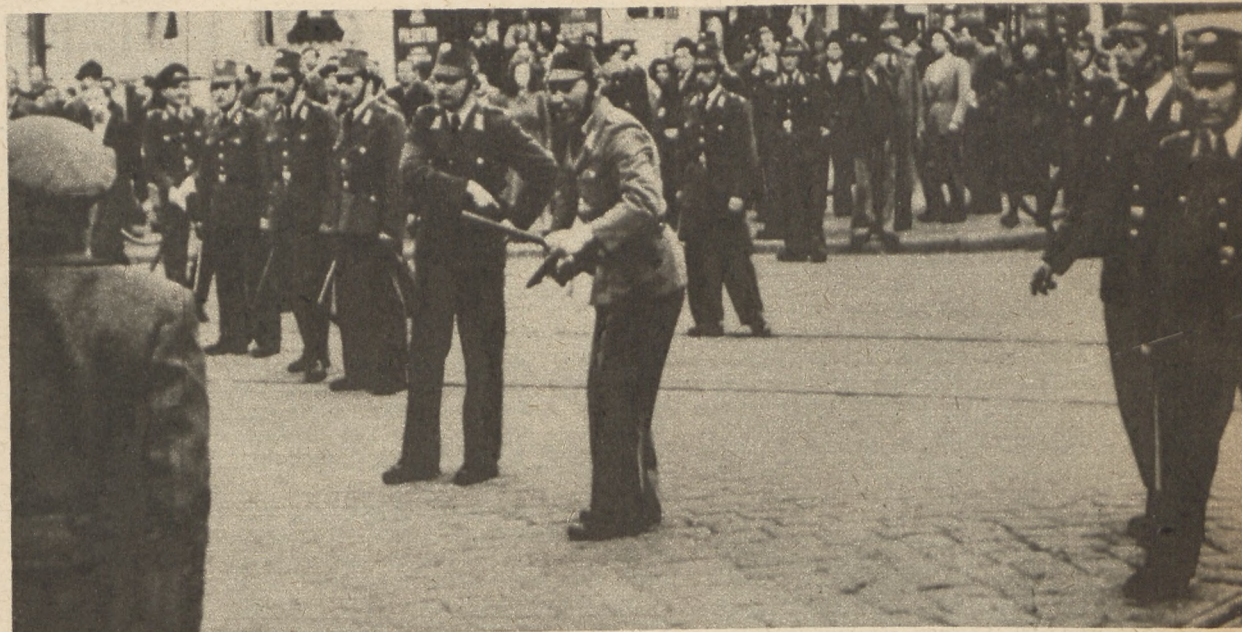
# WALKA PRZECIW REMILITARYZACJI TRIZONII SPRAWĄ CAŁEGO NARODU POLSKIEGO

Z całej Polski zjechali się do Warszawy przedstawiciele komitetów obrońców pokoju na Ogólnopolską Konferencję, która odbyła się 9 czerwca pod przewodnictwem profesora Jana Dembowskiego, przewodniczącego Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju. Zebrani gniewnie protestowali przeciwko remilitaryzacji Niemiec zachodnich, przeciwko wojennemu „układowi ogólnemu” i knowaniom odwetowców neohitlerowskich. Uczestnicy Konferencji domagali się pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego w myśl ostatniej noty rządu ZSRR w tej sprawie. Na konferencję warszawską przybyła gorąco witana delegacja niemieckich obrońców pokoju z przewodniczącą Związku Kobiet Niemiec Elly Schmidt (NRD) i Gerberem (Niemcy Zachodnie) na czele.

Po konferencji odbył się w Hali Mirowskiej wielki wiec ludności Warszawy, na którym uchwalono rezolucję domagającą się zawarcia przez cztery mocarstwa traktatu pokojowego ze zjednoczonymi, demokratycznymi, pokojowymi Niemcami, oraz wzywającą naród polski, aby wzmożonym wysiłkiem produkcyjnym przyczynił się do uniemożliwienia realizacji amerykańsko-hitlerowskiego spisku przeciwko pokojowi i bezpieczeństwu narodów.



W SALI OBRAD WARSZAWSKIEJ KONFERENCJI



Policja Adenauera, składająca się w większości z byłych esesmanów, rozpędza wielką demonstrację niemieckich obrońców pokoju.



Keystone

Jakby na uragowisko następcę Himmlera, minister policji Trizonii, dr Lehr, wybrał dzień kapitulacji hitlerowskich Niemiec na zorganizowanie manewrów pierwszych oddziałów nowego Wehrmachtu w postaci tzw. policji granicznej Trizonii. Oficerowie amerykańscy, angielscy i francuscy z zainteresowaniem przyglądają się wozom pancernym.

Anthony Eden, minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, czule uśmiecha się do żołdaków Lehra witających go w Berlinie zachodnim.



Keys



# „UDRĘKA”

## PREMIERA DE GASPERI

Korespondencja własna „ŚWIATA”

Rzym, koniec maja 1952 r.

**Z**BUDOWANY na siedmiu pagórkach Rzym nie jest jednym, lecz pięcioma, wzajemnie ząbającymi się miastami. Mamy więc Rzym starożytny — niezliczoną ilość kolumn, świątyń i amfiteatrów. Potem następuje Rzym Odrodzenia z jego wspaniałymi pałacami, placami i fontannami. Potem Watykan — państwo w mieście. Dalej Rzym kapitalistyczny, powstały w epoce bezwzględnej spekulacji. Rzym z czynszowymi koszarami, biurami podróży, kawiarniami i bankami. I wreszcie miasto nędzy i baraków, osławione „quartiere”, gdzie na 1000 „mieszkań” przypada jeden pisuar, a gruźlica zbiera obfite żniwo.

Przez ostatnich kilka tygodni to „miasto miast” przybrało nowe oblicze. Trwała walka propagandowa o to, kto rządzić będzie na Campidoglio (Kapitolu), rzymskim ratuszu, jakie będą dalsze losy tego miasta. Ściany domów pokryte są plakatami wyborczymi. Gdy rano przechodziliśmy ulicami Trastevere, mój przyjaciel Giorgio G. rzucił: „Widzisz, oto dlaczego głosuję na komunistów”, wskazując przy tym na dwa wielkie plakaty „Listy Obywatelskiej”. Na jednym z nich był tylko napis: „1911 — Libia, 1914 — wojna światowa, 1935 — Abisynia, 1936 — Hiszpania, 1940 — Grecja, Afryka, Rosja, Włochy. Dostyc wojen”. Drugi, na którym znajdowało się zdjęcie rozwalonego domu, głosił: „Dzisiaj głos na De Gasperiego — jutro bomba na twój dom”.

Pod hasłem walki o pokój, pod hasłem przekształcenia pięciu Rzymów w jedno miasto, nie tylko dla patrycjuszów i bankierów, ale i dla ludu — przystąpiła do wyborów w Rzymie „Lista Obywatelska”.

Lista ta grupuje znanych działaczy politycznych i społecznych (przeważnie bezpartyjnych), którzy razem z partią komunistyczną i socjalistyczną walczą pod sztandarem demokracji o uzdrowienie samorządu i przeciwko partii wojny i nędzy — chadecji. W Rzymie na czele „Listy Obywatelskiej” stanęli znani działacze liberalni i niezależni demokraci: b. premier Francesco Nitti, wiceprezydent senatu Enrico Mole, b. wiceminister Robót Publicznych Giuseppe Bruno, gen. lotnictwa Luigi Gigliotti. W Neapolu

listę demokratyczną „Movimento Indipendente per la Rinascita” (Niezależny Ruch Odrodzenia) reprezentują b. min. Labriola i b. burmistrz, prof. Labriola. Na Sycylii na czele bloku demokratycznego stanął znany działacz liberalny, b. senator Cipolla.

### „BEZ MAKARONU I BEZ OLIWY”

Gdy w r. 1947 chadecja przystępowała do walki o Kapitol, walki o władzę w rzymskiej radzie miejskiej — Amerykanie rzucili miliony na pomoc dla De Gasperiego. Kto głosował na chadecję dostawał paczkę z amerykańskim makaronem i oliwą. Mimo to blok lewicy odniósł wówczas zwycięstwo. Na wieść o tym na Kapitolu zebrali się olbrzymie tłumy ludu rzymskiego, śpiewając na modną wówczas melodię:

„Siamo qui in Campidoglio  
Senza pasta, senza olio”.

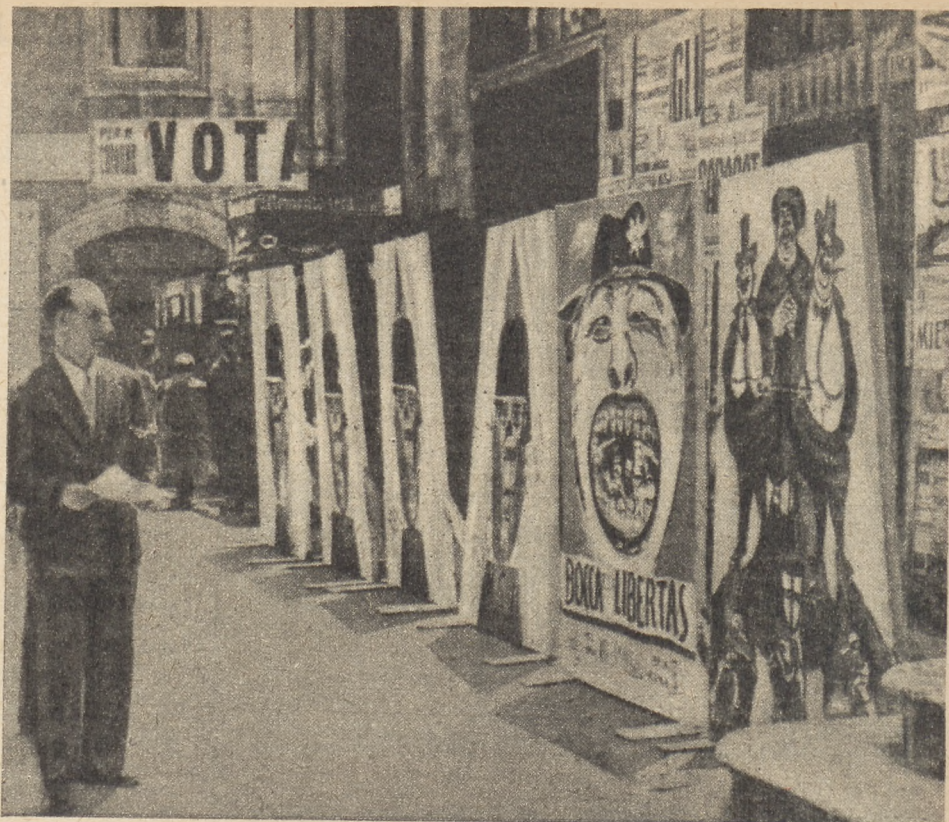
„Jesteśmy na Kapitolu — bez pomocy makaronu i oliwy”. Wówczas obowiązywała jeszcze demokratyczna ordynacja wyborcza. Wkrótce potem do władzy doszła reakcja. Od tej chwili toczy się walka nie tylko o przyszłość Rzymu, ale o losy Włoch. Gdy przed miesiącem chadecja pod presją mas zdecydowała się na przeprowadzenie wyborów samorządowych 25 maja, De Gasperi przyznał, że wybory te będą dla niego „udręką”. Były bibliotekarz watykański nie przewidywał jednak, że wybory te przekształcą się dla niego w prawdziwą klęskę.

### W SOJUSZU Z FASYZMEM

Przystępując do wyborów chadecja i Watykan zmobilizowały wszystkie siły do walki przeciwko narodowi włoskiemu. Barokowy pałac na Piazza del Gesù (siedziba chadecji) przekształcił się w kwaterę główną całej reakcji włoskiej. Na zarządzenie ministra Scelby centrala telefoniczna TETI połączona została specjalnym kablem z Piazza del Gesù, a w ciągu niedzieli i poniedziałku wszystkie urzędy telefoniczne obowiązywały przyjmować od oficjalnych pełnomocników chadecji „pilne depesze redagowane częściowo szyfrem” — jak brzmiało zarządzenie ministra spraw wewnętrznych.

W ciągu ostatnich tygodni w Rzymie nie można było spotkać żadnego ministra. Przemawiając, przekupując, obiecując złote góry rozjeżdżali chadecy ministrowie po całym Południu. Szczególnie „wslawił” się min. sprawiedliwości Zoli, który przez dwa tygodnie objeżdżał Sycylię, w każdej niemal miejscowości wmurowując kamień węgielny pod budynki, które nigdy nie będą wybudowane. Toteż zawsze pełen humor lud rzymski nazwał obecne wybory — „wyborami kamieni węgielnych”. „De Gasperiemu nie pomogą kamienie węgielne Zoli — powiedział mi w niedzielę stary robotnik Giuseppe Lapponi. — Dzisiejsze wybory będą dla niego kamieniem grobowym”.

Bo też prawdziwe oblicze włoskiej chadecji ujawnione zostało z całą ohydą. Przed paru dniami De Gasperi nie zawahał się oświadczyć publicznie, że „fasyzm położył wiele zasług dla kraju”. Natychmiast odpowiedział mu Valerio Borghese b. komendant SS-owskiej dywizji „X-Mas”, wypuszczony niedawno z więzienia, gdzie odsiadywał karę za kolaborację z hitlerowcami, przywódca MSI (Movimento Sociale Italiano — partia neofaszystowska). W artykule ogłoszonym na łamach nowego dziennika faszystowskiego „Il



Postępowi malarze włoscy wzięli żywy udział w kampanii przedwyborczej bloku lewicy. Ulice Rzymu pełne były plakatów demaskujących prawdziwe oblicze chadecji.

Secolo” następcą „duce” (tego samego, który zawisł na placu w Mediolanie do góry nogami) przyrzekł całkowite poparcie chadecji.

### KAMPANIA PIEKŁA

Równocześnie do akcji przystąpił sam Watykan. Pod wodzą kardynała Micara zorganizowana została „kampania piekła”. W dziesiątkach artykułów, listów pasterskich i ulotek Watykan groził wiernym ogniem piekielnym i wiecznym potępieniem, gdyby odważyli się nie głosować na chadecję. Do akcji włączył się również arcybiskup Mediolanu, który wychwalał „dobre dawne czasy”, kiedy krajem rządziły trzy „f”: feste, farina e forca (igrzyska, mąka i szubienica).

Równocześnie rozpoczął się istny najazd księży i zakonników do okręgów wyborczych. W samym Rzymie wpisało na listy wyborcze przeszło 50.000 mnichów, którzy już raz oddali swe głosy w wyborach jesiennych w północnych prowincjach kraju. Całą akcją dyryguje „Istituto Maria Ausiliatrice”, a specjalizują się w tym zakonnicy i zakonnice z „Convento Purita e Materdei” i „Istituto Missioni”.

Największe nasilenie osiągnęła „kampania piekła” w samym dniu wyborów. Oddanymi im do dyspozycji samochodami wojskowymi proboszcze zwozili „owieczki” wprost z kościołów do lokali wyborczych, grożąc odmową udzielenia sakramentów w razie głosowania na lewicę. W Palo del Colle znaleziono przy działaczu chadeckim Francesco Avitto 25 kart wyborczych. Zakonnica Caterina Conenna, w Valenzan, posiadała 10 kart wyborczych. W Costello di Reggio Calabria zatrzy-

mano zakonnicę, która legitymowała się fałszywymi dokumentami oraz księdza, który już czterokrotnie brał udział w wyborach. Do gorszących scen doszło w miejscowości Sbarre koło Reggio Calabria, gdzie zwiezieni 3 ciężarowymi samochodami pacjenci z zakładu dla umysłowo chorych dostali szalu i rzucili się na policję.

### PORAŻKA KOALICJI BANKRUTÓW

Mimo wścieklej nagonki kleru, gwałtów faszystowskiej policji, mimo bojówek MSI i terroru mafii\*) — koalicja reakcji poniosła sromotną porażkę. Ogłoszone dotychczas, niepełne jeszcze wyniki wyborów świadczą o wielkim sukcesie bloku lewicy, który potrafił skupić 33% głosów wobec 26% w wyborach 1948 roku. 190 miast i gmin w południowych Włoszech, tej Bastylii reakcji, zdobytych zostało bezapelacyjnie przez lewicę. I to mimo ordynacji wyborczej, którą nawet prawicowy przewodniczący senatu włoskiego, De Nicola, nazwał „najbardziej antidemokratyczną ordynacją na świecie”.

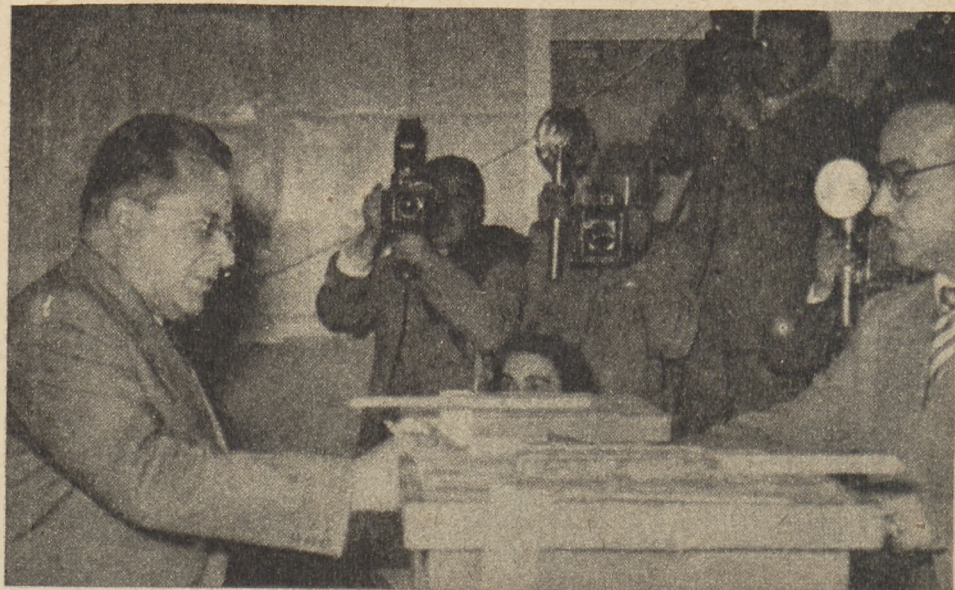
Gdy artykuł ten dojdzie do rąk Czytelników, znane już będą ostateczne wyniki wyborów. Już dziś jednak stwierdzić można, że jednolity front sił demokratycznych we Włoszech przyciąga coraz szersze warstwy drobnomieszczanstwa i średniej burżuazji, zagrożonych w swoim istnieniu przez amerykański imperializm, i stanowi nowy, zwycięski etap na drodze stworzenia ogólnonarodowego frontu walki o zwycięstwo sił demokracji i pokoju we Włoszech.

RENÉ ANDRÉ

\*) Tajna organizacja terrorystyczna sycylijskich feudałów.



Scena z wyborów w Modugno. Policjanci wnoszą do lokalu wyborczego „spalizowaną” zakonnicę, która pół godziny przed tym głosowała jako „ślepa”.



Sekretarz generalny Komunistycznej Partii Włoch, Palmiro Togliatti głosuje.





# Kroniki ciąg dalszy

Napisał LUCJAN WOLANOWSKI – Zdjęcia JANA KOSIDOWSKIEGO

**D**YREKTOR i profesorowie liceum siedzieli za ustawionymi w podkole stółami. Przybliżył się do nich i lekko drżącymi z przejęcia palcami wybrał jedną z wielu kartek wyłożonych niezapisaną stroną do góry. Szybko odwrócił wyciągniętą kartkę, przebieglł oczyma jej treść i podał głośno numer wylosowanego zestawu pytań. Usiadł pod ścianą i przez 10 minut, podparłszy głowę rękami, szykował się do odpowiedzi.

Mogło się to dziać gdzieś w Polsce — na jednym z wielu egzaminów maturalnych. Działo się to 28 maja 1952 roku we wsi Kołaczycze, o 10 km od najbliższej stacji kolejowej w Jasle. Opowieść ta jest więc teraz zlokalizowana w czasie i przestrzeni; nim jednak egzaminowany zaczyna odpowiadać na wylosowane na kartkach pytania, chciałbym przedstawić Wam odpowiedź, jaką znalazłem na pytanie: jak doszło do egzaminów maturalnych na głuchej, podkarpackiej wsi? Doszperałem się tej odpowiedzi też na kartkach — kartkach starych książek i rękopisów.

## ECHA KRZYWD ZAPOMNIANYCH

Przez sześć wieków, czyli od dnia kiedy po raz pierwszy znalazła się w dokumentach nazwa tej należącej do opactwa Benedyktynów w Tyńcu wsi, kroniki notowały sucho złe i dobre chwile Kołaczyc. Bezmiar chłopskiej krzywdy, tragedii posypanej prochem niepamięci, drzemie w kunsztownych hieroglifach dawnych akt. Wiemy więc dziś, że „Jakub ze Zmigrodu, pana Stadnickiego pastuch, mszcząc się krzywdy wyrządzonej stryjowi swemu Janowi z Bukowej, który w sprzeczce z Walentynem Pankiem z Kołaczyc otrzymał szkodę na zdrowiu, podłożył

ogień o drugiej godzinie w nocy w piątek po św. Marcinie w roku 1598”. Dowiadujemy się, jak porastały w bogactwo Kołaczycze leżące na wielkim szlaku handlowym, jak skrzypiały ciężko ładowne wozy kupieckie przechodząc przez tę wieś, która z czasem stała się miastem, by znów stać się — i pozostać po dziś dzień — wsią. Wiemy, że dnia 28 lutego 1614 roku „Mikołaj Gaszyński, burgrabia zamku Gólesza, oskarżył sługę swego Jana Udrę, że mu skradł szkatułę, w której miał kilkaset złp., klejnot na 800 złp. i pierścień”. Finał dramatu: „...sąd pytał się Jana Udrę, aby się przyznał, ale ten ustawicznie przeczył, wtedy rada cała wydała wyrok, aby pan Gaszyński przysięgał na to, że Udra ukradł mu te przedmioty. Kiedy Gaszyński zaprzysięgał, wtedy sąd podał Udrę na męki w ręce katom”. W roku 1638, dziewczyna z Kołaczyc — Rejma, utopiła swe dziecko. Biskup Karol Ferdynand tak pouczał wtedy sąd w Kołaczycach: „Kazać przy dekretu ferowaniu waszem przed oczy dziecię wykopać, aby się drugie tego nie dopuszczają, jako zwyczaj prawa: zawaruj bóle. Kiedybyście ją inszą śmiercią chcieli karać, nie utopioną, bylibyście jej przed Panem Bogiem winni wedle prawa”.

Najwięcej danych do odpowiedzi na postawione pytanie znalazłem jednak w prowadzonych od lat kronikach miejscowej szkoły. Pokolenia nauczycieli sięgają po pióro, by pisać nie tylko o zdarzeniach lokalnych, o cenach, o epidemiach, o klęskach głodu — ale i o wydarzeniach z szerokiego świata. Mamy więc tu i dokładny opis zamordowania pilnikiem cesarzowej Elżbiety i opis kampanii wrześniowej i wielu innych wydarzeń. Kilka faktów, które tu przytoczę, a które wiele

powiedzieć powinny, pochodzą więc — z małymi wyjątkami — z tych zapisków.

## NA PIASKU PISANE

Dawne są tradycje postępu w tych stronach. Tu przecież nauczał Julian Goslar, wędrując od wsi do wsi w chłopskim przebraniu, tu rozpowszechniano odezwe, którą 7 maja 1848 roku wystosowała Rada Narodowa w Rzeszowie:

„Zgromadźcie więc dziatwę wiejską u siebie i uczcie ją nieznużone. Nie troszczcie się tem, że trzeba pirwey szkołę wystawić. Szkołą nie jest koniecznie budynek właściwy. Szkoła jest to miejsce, gdzie kogo uczymy; a więc jakakolwiek izba czy pokój, ganek, poddasze, lipa, dąb, ogród, chłodnik, dąbrowa. Niepotrzeba koniecznie i ławek i dużo książek; na początek parę groszówek, a w braku takowych, pierwszą książką niech będzie patyczek i ziemia. Wyryć patyczkiem pierwszą głoskę na ziemi i powiedzieć wyraźnie, głośno, że ten znak — nazywa się A... Kazać dziecku to samo zrobić. Dobrze jest pisać głoski na tablicy naśladując druk i dzieciom to samo czynić kazać. Stół piaskiem pokryty a listewkami okolony i rylec może także k'temu, owszem jedną pracą osiąga się tu dwa zamiary”. Te szlachetne zamiary „Wiosny Ludów” nie natrafiły jednak na zrozumienie moźnych tego świata, do których skierowany był apel z Rzeszowa. Spis ludności w Galicji w roku 1890, podaje na stronie 13: „W powiecie jasielskim czytać nie umie mężczyzn 63,91% a kobiet 68,52%”. A oto rzut oka na inne świadectwa epoki...

**JASNI PANOWIE I CIEMNA WIEŚ.** Notatki kierownika szkoły powszechnej w Kołaczycach. 5 lutego 1894. „Szkołę tu-tejszą zwiedził Jasnie Wielmożny Pan Emanuel Dworski, cesarsko-królewski

krajowy inspektor szkół. Skutkiem tej wizytacji, złączono klasę V-tą, która w myśl nowego planu naukowego w 2 oddziałach chłopców i dziewcząt prowadzona była w jeden oddział a to jedynie dla braku dostatecznej liczby uczniów, gdyż tylko 18 uczennic i 7 uczniów do tej klasy uczęszczało”.

25 czerwca 1896. „Uroczystość zamknięcia roku szkolnego odbyła się pod przewodnictwem Jasnie Oświeconego Księcia Pawła Sapiehy, starosty jasielskiego. Książę objawił swe najwyższe zadowolenie i zachęcał w krótkich lecz serdecznych słowach do pilności w nauce i szacunku dla przełożonych. 11 listopada 1900. Dzień ten zapisał się złotymi zgłoskami w dziejach naszego powiatu, albowiem Najjaśniejszy Pan Franciszek Józef I, cesarz austriacki, król galicyjski itd., itd. raczył przyjechać do Jasła aby się pokazać swoim ludom, które Go jeszcze w tym zakątku nie miały sposobności widzieć a nadto przypatrzeć się manewrom wojskowym, w których brało udział 174.000 wojska różnej broni. Działwa tu-tejszej szkoły w liczbie 300 zawieszona do Jasła na 12-tu wozach, witała Go radosnymi okrzykami.

**ŻÓLTACZKA, ZABOBON I KAPŁANI.** Ks. Władysław Sarna, proboszcz w Siebniach, tak pisał w 1908 roku o miejscowej ludności: Na reumatyzm zwany powszechnie gośćcem, dają wróżom zamówić koszulę. Kąpią się w wodzie przygotowanej z ziele zwanego gościec. Wodę taką wylewają potem na drogi lub pod krzaki bzu czarnego. Kto taką wodę przestąpi, dostaje gościa. Kobiety na gościa zapuszczają kotłun... Na żółtaczkę radzą przeglądać się w przedmiotach pozłacanych; najczęściej proszą kapłanów, by im pozwolili przejrzeć się w patenie.\*

„80 OSÓB MŁODYCH I OCHOTNYCH”. Kierownik szkoły powszechnej w sąsiednim Nawsiu Kołaczyckim zapisał pod datą 18 maja 1934: Obecnie jest 950 mieszkańców z czego 320 dzieci. W Ameryce jest około 50 osób, we Francji na robotach rolnych i w kopalniach jest 13 osób. Na wyjazd do Ameryki czeka beznadziejnie około 80 osób młodych i ochotnych do pracy... Dziewczęta posyłają najdalej do piątej klasy i na tym kończą się ich edukacja, gdyż potem pełnią funkcje sług, kucharek w rodzinie... Wójt obecny do opłat na rzecz szkoły jest wprost wrogo usposobiony i trzyma się zasady „co się nie zapłaci, to po kwietniu przepadnie”. Wskutek tego szkoła bardzo cierpi na tem a gmina obecna już do 2,5 tysiąca złotych nie wypłaciła szkole a co do wypłaty nauczycielstwu mieszkaniowego (1/3 część kwoty) to gmina i zwierzchność jest wrogo usposobiona... Jest chęć do czytania książek i gazet a biblioteka gminna z dziełami o treści naukowej, gospodarczej i popularnymi arcydzielniami naszej literatury, byłaby niezbędnie potrzebna.

\*) patena — pozłacane naczynie liturgiczne.



Losowanie pytań maturalnych, to chwila emocji. Potem — 10 minut namysłu.



W liceum na podkarpackiej wsi Kołaczycze odbywa się dziś egzamin maturalny — chłopskie dzieci wykazują swoje kwalifikacje do studiów wyższych.

Dalszy ciąg na str. 6





Jan Baystak, dyrektor liceum, pochodzi z Kołaczyc — jak i trzech profesorowie.



Wizyta wykładowcy chemii ucięższa maturzystę Edwarda Cyrana, syna przewodniczącego komitetu założycielskiego spółdzielni produkcyjnej Bieździedza.



I oni też kiedyś zdadzą maturę — teraz czekają na wyniki starszych kolegów.

#### Dalszy ciąg ze str. 5

„ZAMIAST BYĆ POMOCĄ...” Również w maju tegoż roku kierownik szkoły powszechnej w samych Kołaczycach zapisał: *Dzieci posyłane do szkół, to duma całej rodziny. Otoczone ogromną serdecznością, wyróżniane ze wszystkich dzieci — w czasie wakacji lepiej odżywiane od innych członków rodziny, lepiej okryte. Teraz niestety wielu młodych ludzi wykształconych jest bez posad i zamiast być pomocą, są ciężarem rodziny.*

**ZMIERZCH.** Ten sam, pod datą 9 września 1939: *Pierwsze patrole niemieckie na rowerach pojawiły się w Kołaczycach.*

**CIEMNA NOC.** Dalej — zapis z 30 czerwca 1941: *Dziś zakończono rok szkolny. Stan uczniów z końcem roku wynosił 436. Niepromowanych było 179 uczniów w tym nieklasyfikowanych 137. Wielka liczba nieklasyfikowanych powstała wskutek nieuczęszczania uczniów do szkoły. (nieopodal, notatka po niemiecku czerwonym ołówkiem: Widziałem — Gattner, Kreisschulrat). Na tle niemieckich zamierzeń „oświaty” dla Polaków w ramach umiejętności podpisywania się i rachowania do stu, był to prawdziwy triumf duchowych ojców dzisiejszych polityków z Bonn. Kronika przynosi później wstrząsające opisy wysiedlenia całych Kołaczyc przez hitlerowców, ponieważ mieszkańcy wsi na tułaczce. Aż wreszcie jedno zdanie...*

**SWIT.** W nocy z 20 na 21 stycznia 1945 wkroczyły do Kołaczyc patrole Czerwonej Armii.

#### WŁASNymi RĘKAMI

Spełniły się marzenia „Wiosny Ludów” o oświacie dla wszystkich, spełniły się „mrzonki” nauczycieli wiejskich sprzed 18 lat o bibliotekach; szkoła podstawowa ma 7 klas i obejmuje wszystkie dzieci, jest też i stałe kino w Kołaczycach. Zostawmy jednak te sprawy z których każda to osobny temat do pisania; zajmijmy się dalszymi ambicjami kołaczyczych chłopów. Już w kilka dni po wyzwoleniu dotarł do Rzeszowa Jan Baystak, syn wóźnego szkolnego z Ko-

łaczyc, który już przed wojną, zarabiając od czternastego roku życia na siebie, ukończył gimnazjum i Uniwersytet Jagielloński. Jan Baystak otrzymał w Rzeszowie polecenie uruchomienia gimnazjum w Jaśle; gdy jednak przybył do tego powiatowego miasta, gdzie ocalało zaledwie 18 domów, zastał całe starostwo urzędujące w jednym pokoiku. Zamiar rozbił się o brak miejsca — ale sam projektodawca powrócił do wsi rodzinnej, gdzie wraz z trzema innymi pochodzącymi stamtąd profesorami oraz z innymi wykładowcami, otworzył gimnazjum. Byli oni zdrowymi drożdżami winnymi wywołującymi korzystny ferment wśród miejscowej młodzieży. Państwo pomogło — pewnego dnia ciężarówka przywiozła z Tarnowskich Gór części baraku z których uczniowie sami wybudowali pomieszczenie dla gimnazjum.

Kronika prowadzona jest dalej — ale chciałbym sam dorzucić do niej kilka słów — własne notatki z trzech dni.

#### MATURA

30 MAJA 1952. Zmrok zapadał nad Kołaczycami. Krowy wracały same z gromadzkiego pastwiska, rozchodziły się bez pastucha do swych zagród, gdzie głośno rycząc, wołały o rozwarcie wrót. Wróty kończyły wieczorne sejmowanie. Koty przycupnęły pod okapami, mrużąc swoje wieczorne pacierze.

Trzeci dzień egzaminu maturalnego we wsi Kołaczycy dobiegał końca. Jako pierwszy zdawał według alfabetu Edward Cyran, syn przewodniczącego komitetu założycielskiego spółdzielni produkcyjnej w sąsiedniej wsi Bieździedza. Po nim poszli inni; dziś po południu zdawały cztery dziewczęta i Tadeusz Romański, bystry i zdolny, który zwyciężył swe koleśki — mina hitlerowska urwała mu prawą nogę i rękę — ucząc się swobodnego pisania lewą dłoń. Wszyscy zdający teraz przeszli już przez sito egzaminu piśmiennego, do którego dopuszczono 38 uczniów i uczennic klasy XI. Z Warszawy nadeszły — jak do innych szkół w całej Polsce — tematy do egzaminu pisemnego w zakładowanej i zaszytej kopercie. Pięćcioro

odpadło podczas pisemnej matury, jedna abiturientka — już na egzaminie ustnym, podczas którego każdy sobie sam wyciąga po trzy pytania z poszczególnego przedmiotu, zestawione na kartkach rozłożonych na stole Państwowej Komisji Egzaminacyjnej.

#### Z MOCNIEJ BIJĄCYM SERCEM

Wydaje się, że minęła bezpowrotnie epoka problemów w rodzaju „Mickiewicz jako taki, a jeśli taki, to jaki i dlaczego?” Pytania powiązane są z życiem. Wielki nacisk kładzie się na fizykę i matematykę, jako na przedmioty podstawowe przy wszelkich wyższych studiach technicznych. Abiturienti demonstrować na przygotowanych przyrządach zleczone ćwiczenia fizyczne — muszą wykazać pewność w manipulowaniu sprzętem laboratoryjnym. Tablica pokrywa się długimi kolumnami wzorów matematycznych. Egzamin z literatury polskiej sprawdza opanowanie tego niezmiennie ważnego przedmiotu.

Pozostają jeszcze dwa przedmioty: historia i nauka o Polsce. Chciałbym przytoczyć kilka pytań i problemów maturalnych z tej dziedziny — już choćby dlatego, że nie tylko młodzież z Kołaczycy wsłuchiwała się w nie z bijącym mocniej z wrażeń sercem, ale że są one życiowo ważne dla ludzi w Polsce i na świecie.

Na niektóre z nich można by najlepiej odpowiedzieć patrząc przez okna kołaczycyckiej szkolnej izby na soczyscie zielone pola wsi pnące się łagodnie po zboczach pobliskiego wzgórza. Najlepszą pomocą naukową dla pytania „Walka o nową wieś polską” jest założona nieopodal spółdzielni produkcyjna w Bieździedzy. Do tematu „Masowy awans społeczny robotników i chłopów” radziłbym przeczytać ankiety samych egzaminowanych, gdzie w rubryce „źródło utrzymania rodziców” podano przeważnie „drobny rolnik”. Zagadnienie „Rola Państwa w wychowaniu młodzieży” — to dwa internaty uczniowskie w tej wsi i liczne stypendia. „Znaczenie Państwowych Ośrodków Maszynowych” — najlepiej odczytać z prostych brzdęków na siewnikach na kołaczycyckich polach.

Każdy egzaminowany dostaje jedno pytanie związane z projektem Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — z nią to przecież łączy się nierozzerwalnie to wszystko, co się tu teraz dzieje. Artykuły Konstytucji nabierają specjalnego znaczenia właśnie tu — z perspektywy tej wsi, która była niegdyś rezerwatem galicyjskiej nędzy i ciemnoty, która była stałym dostawcą taniego robotnika do pracy w chicagowskiej rzeźni, francuskiej kopalni i junkskim majątku. Konstytucja wpłata się w losy kołaczycyckich ludzi — tu bez trudu odnajduje się klucz do zrozumienia wszystkich spraw tego historycznego projektu.

Porusza się na maturze problemy dla których zrozumienia trzeba też spojrzeć dalej... Nie trudno i tu o materiały źródłowe! „Kraje kolonialne i zawiste, wzmożenie ruchów narodowo-wyzwoleńczych” — to Kożedo, to ścinanie głów malajskim patriotom. „Imperializm amerykański” — to aresztowanie Duclos. „Stosunek ZSRR oraz państw demokracji ludowej do sprawy niemieckiej” — to nasza współpraca z NRD.

#### ROCZNIK 1935

31 MAJA 1952. Ostatni dzień matury pozwala już na dokonanie pewnego bilansu. Czy rocznik 1935, wychodzący z liceum w Kołaczycach, przygotowany jest do wyższych studiów? Tak. Ma on opanowany także duży materiał, który nie jest przedmiotem egzaminów maturalnych, ale który przerabiany był w X i XI klasie. Geologia, biologia, chemia, astronomia — łącznie z matematyką i fizyką, to solidny podkład pod studia techniczne. Uczyli się łaciny — klucza do wszystkich nauk humanistycznych oraz języka rosyjskiego, którego znajomość otwiera dostęp do dorobku narodów ZSRR. Przedmioty egzaminu maturalnego — historia i nauka o Polsce, pozwalają na zrozumienie epoki wielkich przemian w której żyjemy.

Dobre pamięciowe opanowanie materiału nie zawsze jednak idzie w parze ze swobodnym wyrażaniem myśli. Od-

Dokończenie na str. 8

TERAZ TRADYCYJNE ZDJĘCIE — PAMIĄTKA NA CAŁE ŻYCIE.



ZDAŁAM — POWIEDZIAŁA KRÓTKO RODZINIE HELENA RUSZTOWICZ.

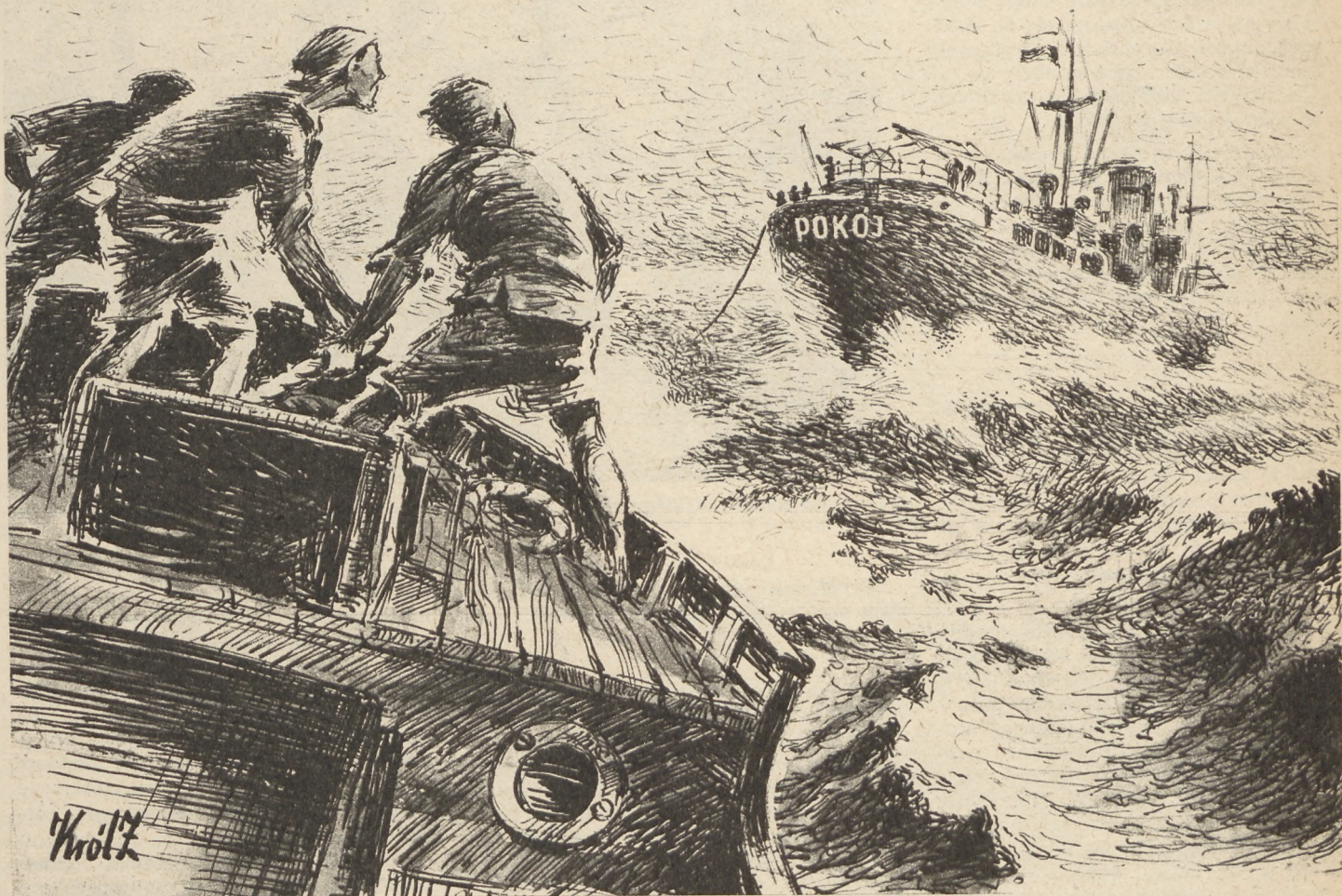




# S.O.S.

## M/S „POKÓJ” RATUJE „TAKACHIMORE”

MACIEJ JASIŃSKI



Rys. Zdzisław Król

**O**D tego czasu minęło już kilka miesięcy. Ale jakże często w rozmowach załogi, w prostych, marynarskich wspomnieniach wraca i ożywa historia tamtych dwudziestu godzin. W dzienniku okrętowym zapisano ją krótko i po prostu. A jednak historia tej pamiętnej, podzwrotnikowej doby, w ciągu której m/s „Pokój” musiał zejść z wytyczonego kursu, nie była taka prosta...

Słońce stało wysoko, rzucając na pokład krótkie cienie masztów, nadbudówek i rej. Dął silny północno-wschodni wiatr, a gnane jego gwałtownymi podmuchami fale biły z ukosa w prawą burtę statku, jakby za wszelką cenę zepchnąć chciały jego potężne cielsko z wytyczonej drogi. Ale statek szedł naprzód. Równo dudniły maszyny, strzałka w kabinie nawigacyjnej wykazywała niezmiennie: cała naprzód. A za rufą łopotała na wietrze dalekiego wschodniego oceanu biała - czerwona bandera.

Szybra kuźra „Takachimore”, starego rybaka Yisumuki, wyrwał z męczącego półsnu, półodrętwienia przenikliwy krzyk: Statek na horyzoncie! Zerwał się na równe nogi i już stał obok swych towarzyszy przy lewej burcie, wpatrując się z zapartym tchem w bielejący na horyzoncie profil dużego statku. Spojrzał po towarzyszach. Ich zmęczone, przygnębione i wychudłe twarze z zapadniętymi oczyma wyrażały teraz gorączkowe podniecenie i nadzieję, która przez zwyciężyła wyczerpanie ostatnich dni, dni walki, w której nie było żadnych szans na zwycięstwo...

Co kto miał pod ręką: flaga zawieszona na bosaku, jakieś płótno, czy wprost ściągnięta z pleców koszula, wszystko to służyło jako materiał sygnalizacyjny. — Żeby tylko zauważyli, żeby tylko chcieli zejść z kursu...

Kapitanowi Pacewiczowi przerwano obiad. Nieznany kuter rybacki wzywa pomocy. Długo patrzył kapitan przez szkła lornety.

Komenda rzucona sternikowi Lasocie była krótka: Cztery rumby w lewo. Kurs na kuter. A do maszyn: Cała naprzód!

Na pokładzie zebrała się grupka marynarzy. Kuter widać było już teraz do-

kładnie. Mały, obdrapany, ani odgłosu motoru, ani śladu żagla...

— Widzicie, zrzucili dryf-kotwę. Pewnie im motor nawalił — fachowo ocenił stary „wilk morski”, bosman Smoczyk.

— To Japończyk — dorzucił któryś z marynarzy, gdy statek był już blisko kutra. — Patrzcie, ale się cieszą...

Rzeczywiście. Choć kuter w dalszym ciągu jak piłka tańczył na silnej oceanicznej fali, na pokładzie zapanowała gwałtowna radość. Jeszcze przed chwilą trzynastu Japończyków drżało z obawy, że bielejący w oddali statek nie zauważy ich, że może, tak jak spotkany przed kilku dniami amerykański motorowiec z gwiazdźdźistą banderą na rufie odpowie na ich rozpaczliwe sygnały pogardliwym milczeniem i znikającym na horyzoncie pióropuszem dymu. A teraz ich trwoga, śmiertelna obawa biednych, wyzyskiwanych pracowników japońskich mórz,

ustąpiła nieopanowanej, nie dającej się wyrazić w słowach radości. Radości ludzi, którzy czuli, że wracają do życia za sprawą pięknego białego statku, którego nazwy nie umieli odczytać, ani nie znali państwa, którego flagą jest białoczerwona bandera.

Przez szum oceanu dochodziły pełne ulgi okrzyki. Wrócili do życia.

Ale dla załogi „Pokoju” sprawa nie była jeszcze tak całkiem prosta. Podejść zupełnie blisko do kutra było niemożliwe. Radiooperator bezskutecznie próbował złapać kuter na antenę. Nikt nie odzywał się. Na sygnały chorągiewkami Japończycy odpowiadali bezładnym machaniem, którego w żadnym wypadku nie można było przyjąć za znaki jakiegokolwiek kodu. Trzeba było działać na własną rękę.

M/s „Pokój” zwolnił bieg. — Przygoto-

wać hol — zabrzmiała komenda z mostku kapitańskiego. Akcją kierował starszy oficer statku, Wiśniakowski. Sprawnie przygotowano rzutkę. Wyteżyli wszystkie siły w zamachu drugi oficer Słowik. Łagodnym łukiem wystrzeliła cienka linka ku górze. Dziesiątki oczu śledziły jej bieg... Ale koniec linki z cichym pluskiem pograżył się we wzburzonych falach.

— Zniosło... taki wiatr — szukał usprawiedliwienia drugi oficer. Ale nikt nie słuchał jego słów. Oczy wszystkich zwrócone były na kuter. Tam jeden z rybaków, widząc, że zbawcza linka nie dosięgła celu, nie wytrzymał nerwowo. Błyskawicznie zrzucił bluzę, przełożył nogę przez burtę i już popłynąłby ku linie, gdyby nie wstrzymały go silne ramiona towarzyszy i basowy głos ze statku: Keep quietly! Zachować spokój!

Nie udało się i druga próba podania holu, mimo że wystrzelono rzutkę ze specjalnego karabinu. Dopiero za trzecim razem celnemu strzałowi drugiego oficera Słowika zawtórowały radosne okrzyki i wymachiwania Japończyków. Linka padła na pokład kutra. Wszyscy Japończycy na pokładzie całą siłą ciągnęli mocną linkę, za którą metr po metrze zbliżał się do kutra zbawczy hol. A za chwilę, w niskich wschodnich dziękczynnych pokłonach wyrażali wychudli, obdarci rybacy swą wdzięczność. Byli uratowani...

— Hallo, skąd jesteście? Co wam się stało? — krzyčeli kolejno w tubę we wszystkich znanych językach marynarze z m/s „Pokój”. Ale odpowiedzią były tylko jakieś urywane japońskie słowa i... nie kończące się pokłony.

— A to głupia historia — mruknął pierwszy oficer Wiśniakowski. — Jak się tu z nimi porozumieć?

Wtedy bosman Szymczyk zjawił się z bańką. Zwykłą, hermetycznie zamykaną bańką od mleka z czarnym napisem „Baltona(\*)”. Popatrzyli na niego zdziwieni. — Czego się gapiacie — burknął na marynarzy. Przynieśliście lepiej cienką linkę i coś z kuchni. A ty Adwent —

\*) Baltona — państwowe przedsiębiorstwo zaopatrzenia dla załóg polskich statków.



...Oczy wszystkich zwrócone były na kuter, który jak piłka tańczył na oceanicznej fali.

Dalszy ciąg na str. 8



zwrócił się do młodego marynarza —  
pisz list.

Tak zrobiono. Za chwilę bańka kołysała się na falach zbliżając się do holowanego kutra. Gorączkowo wyciągnęły się ku niej bosaki i znów rozległy się radosne okrzyki. Odbiorcy kwitowali odbiór wartościowej przesyłki.

Bańkowa poczta działała obustronnie. Zaraz po wylądowaniu pierwszej „poczty” Japończycy naradzili się chwilę między sobą, coś potem długo pisali, włożyli kartkę do bańki i za chwilę marynarze „Pokój” mogli czytać list z kutra „Takachimore”. Mogli, gdyby umieli...



..ale dla załogi polskiego statku „Pokój” sprawa nie była jeszcze tak całkiem prosta.

Masz babo placek! Kto to przeczyta? List wykaligrafowany był starannymi japońskimi hieroglifami. Sytuację uratował w końcu jeden z Japończyków, który tekst przetłumaczył na angielski. Po przetłumaczeniu na język polski załoga m/s „Pokój” dowiedziała się wreszcie całej historii trzynastu rybaków japońskich.

Kuter „Takachimore” wyszedł w morze przed dwudziestu dniami. Motor im się zepsuł, żagla nie mieli. Żywności było na tydzień. Japoński właściciel kilkunastu podobnych do „Takachimory” kutrów jest oszczędny. Nie wyposaża swoich jednostek w radiostację, nie dba o remonty maszyn. Ryba musi być. Dużo ryby! A reszta? Kto by się tam o to kłopotał. Ze naraża się życie ludzkie? Cena na ten towar nie jest wysoka w Japonii, gdzie pod grabieżczą łapą amerykańskich okupantów tysiące bezrobotnych rybaków przyjmą głodowe warunki pracy.

Czytali ten list marynarze z m/s „Pokój” i stawali im przed oczyma mocne, stalowe, doskonale wyposażone kutry „Arki”, potężne trawlerzy „Dalmoru”, rybacka flotylla ich ludowej ojczyzny, dla której najwyższą wartością jest człowiek.

Wiatr gnał obezwładniony kuter z każdą godziną coraz dalej w burzliwy ocean. Rybacy z „Takachimore” wiedzieli co ich czeka. W tej części oceanu nie przechodzi żadna regularna linia, a oni byli bezsilni wobec przepotężnej mocy żywiołu. Stali twarzą w twarz z nieuchronną śmiercią.

A jednak wrócili do życia. Uratował ich statek, który nosi imię „Pokój”.

Blisko dobiegła ich mocna lina holu. Nie wahał się ani chwili kapitan Pacewicz zejść z kursu, nadrobić kilkadziesiąt mil, żeby odstawić kuter do najbliższego portu. Ludzie muszą być uratowani. I może właśnie dlatego, że byli tacy bezradni, tacy opuszczeni — ci wyrobownicy japońskich mór — z całym sercem pomagała im załoga, często krążyły listy, szczerze była zapełniana niezastąpiona bańka.

Niech wiedzą, że ludzie z pięknego białego statku, choć nie rozumieją ich języka, widzą w trzynastu japońskich rybakach swych braci.

Ze stracili 20 cennych godzin? Mniej — z tym. Nadrobią. Podejmą jeszcze jedno zobowiązanie, uzupełnią długą listę prac na cześć 60-lecia urodzin Prezydenta Bieruta i stratę czasu wyrównają. Stratę, której nawet tak nazwać nie można, gdyż ceną tych dwudziestu godzin było życie 13 ludzi.

Przez cały czas funkcjonowała „poczta”. Coraz dłuższe były listy z „Takachimore”. W prostych, niewprawnych

sformułowaniach pisali ludzie, którzy może jeszcze kilka lat temu uszli śmierci gdzieś w Nagasaki, czy Hiroszimie, o tym, że nie zapomną dobrych przyjaciół z dalekiego kraju, którego dotąd nie znali nawet z nazwy. Ze będą pamiętali i powiedzą wszystkim swoim współtowarzyszom, że Ludowa Polska to kraj dobrych ludzi, którzy nie gardzą biednymi, wyszukiwanymi żółtymi rybakami...

Hol wraz z ostatnim listem oddali bezpieczni tuż przy porcie japońskim. Ale więź, którą nawiązało trzynastu Japończyków z załogą „Pokój” nie zerwała się z tą chwilą. Pozostanie zawsze żywa w sercach ocalonych rybaków i w sercach polskich marynarzy.

I choć daleki i nieznan pozostanie dla Japończyków kuter „Takachimore” piękny nadbałtycki kraj, znają już teraz w języku jego mieszkańców dwa słowa, które starannie wyrysowali jako adres, na swoich listach. Dwa polskie słowa, które mają dla nich wartość uratowanego życia: Pokój i Polska. Nazwa kraju, z którego przybył statek-wybawca i drugie, które oznacza spełnienie najgorętszych nadziei wszystkich ludzi pracy na całym świecie, które oznacza życie — POKÓJ.

MACIEJ JASIŃSKI

## KRONIKI CIĄG DALSZY

Do kończenia ze str. 8

powieści niektórych — to mętne echa gdzieś kiedyś zasłyszanych lub wyczytanych sformułowań. Górnolotny styl gmatwa sprawy proste i odczuwacza ludzkie. Niekiedy znów daje się zauważyć brak głębszego odczytania. Zauważyłem, że nauczyciele wkładają w swą pracę bardzo wiele serca, że starają się o zbliżenie nauki do życia i umysłowości wiejskich uczniów, że z talentem naświetlają trudne zagadnienia. Ich dobra wola i umiejętności zatrzymują się jednak na granicy wytyczonej między „lekturą obowiązkową” a tą wiedzą, którą uczeń powinien sam czerpać z książek.

Dalej — pomówmy o wyborze zawodu. Dziwne to, że nikt z absolwentów ze wsi ziemi jasielskiej, naftą płynącej, nie wybiera się na górnictwo. Do szkoły przybył co prawda ktoś z krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej, ale jakoś widocznie nie znalazł wspólnego języka z synami kołaczyckich chłopów. Podobny jest brak zainteresowania dla studiów rolniczych — jakkolwiek liceum stara się je specjalnie rozbudzić — m. inn. przez założenie i prowadzenie doświadczalnego poletka miczurinowskiego, gdzie uczniowie hodują sorgo, kapustę abisyńską, kok-sagyz i inne rośliny, które wchodzi do masowej hodowli na wsi polskiej.

Sprawa poradnictwa zawodowego jest teraz przecież tym ważniejsza, że maturę zdaje się obecnie o rok wcześniej niż w dawnym systemie szkolnym — absolwenci mają na ogół po 17 lat. Młody wiek i pewna izolacja środowiska wiejskiego nie sprzyjają słusznej decyzji — częstsze wyjazdy uczniów klasy XI do wielkich ośrodków naukowych i przemysłowych, żywsze kontakty z przedstawicielami różnych zawodów, zdziaływałyby tu bardzo wiele dobrego.

1 CZERWCA 1952. Powróćcie jeszcze kiedyś znowu piękne dni czerwcowe, kiedy z młodzieżą kołaczycką maszerowałem wesoło poprzez wzgórza, lasy i doliny Podkarpacia. Szliśmy bez pośpiechu przez wieś — ludzie wychodzili z domów i pozdrawiali nas przyjaźnie lub — przecież to niedziela — dołączali się do nas. Minęliśmy trzy samotne brzozy na wysokiej skale („Było ich więcej — hitlerowcy ścięli, gdyż osłaniały partyzantów śledzących ich ruchy”), przebyliśmy bijące samoczynnie źródła mineralne („Może ktoś się nimi zajmie?”), zagłębiliśmy się w gęsty las, by wreszcie przystanąć na polanie. Z nami jechały chłopskie wozy z proviantem, zebrany przez Komitet Rodzicielski. Z nami szedł wiejski listonosz i wzdychając niby to żałośnie („Nawet przy niedzieli dźwigam tę torbę...”) częstował wszystkich cukierkami. Z nami szli w świątecznych ubraniach promieniejący zadowoleniem, kołaczyccy chłopcy — rodzice maturzystów. Mówią oni — „nasze liceum”, „nasz dyrektor”, „nasi profesorowie”. Przedstawiciele Komitetu Rodzicielskiego obecni byli na maturze — raz przysłuchiwała się egzaminom żona wiejskiego garncarza, kiedy indziej znowu — członek miejscowej spółdzielni szewskiej. Na ich twarzach można było wyczytać dzieje przemian tych niewielu lat dzielących kołaczyckich chłopów od udziału w ponurym procencie analfabetów powiatowych, od bezrobocia inteligencji wiejskiej, od zabrania szkoły o każdy grosz.

Na leśnej polanie wystąpił zespół chóralny absolwentów. Takiego repertuaru nie słyszały dotąd na pewno stare dęby: najpierw ody Horacego po łacinie z podstawioną średniowieczną muzyką, potem nowe, warszawskie melodie o Mariensztacie i radziecka piosenka o zabłąkanej harmonii, która wędruje po wsi i budzi ze snu dziewczęta. Ostatni raz występowali tu maturzyści, ostatni raz mieli nazajutrz grać w reprezentacji piłkarskiej liceum przeciw drużynie „Służby Polsce” z Opola...

To były moje notatki z Kołaczyc. Dalszy ciąg tej kroniki pisać już będą sami absolwenci. Nie wiadomo, jakie pytania wylosują w życiu, jakie doświadczenia przyjdzie im wykonać, ile czasu będą mieli wtedy do namysłu, jak odpowiedzą — ale chciałbym bardzo, by zapamiętali nauki kołaczyckiej szkoły tak, by kiedyś cały naród wystawił same piątki maturzystom z roku 1952 ze wsi Kołaczyc na Podkarpaciu.

LUCJAN WOLANOWSKI





# DZUMA – BROŃ AMERYKAŃSKA

MATEUSZ KERR

„28 stycznia 1952 roku amerykańscy agresorzy rozpoczęli w Korei wojnę bakteriologiczną na wielką skalę...”

Sucho i beznamiętnie brzmią słowa oficjalnego komunikatu, który opierając się na obserwowanym materiale dowodowym przyniósł światu wieść, że popełniona została nowa koszmarna zbrodnia. Za tymi słowami czai się śmierć rozsiewana z samolotów amerykańskich. Śmierć w postaci bakterii dżumy, tyfusu, cholery, roznoszonych przez wyhodowane w amerykańskich laboratoriach muchy, pająki, stonogi...

„Zbierałem dowody wojny bakteriologicznej własnymi rękami” — wołał dr. James Endicott, superintendent Kościoła Metodystów i przewodniczący Kanadyjskiej Rady Pokoju, który zwiedził prowincję północno-wschodnią Republiki Chińskiej. I pisze w swoim sprawozdaniu:

„Pewnego zimnego poranka w końcu marca — temperatura poniżej zera — stary człowiek i jego dwie wnuczki ujrżeli w pobliżu swego domu gęstą chmurę much. Próbowali je odpędzić, ale wydawało się, że są one przyklepione do ziemi. Kilka much dostało się do wnętrza chaty staruszka, który w kilka dni potem zmarł wraz z wnuczkami na cholere...”

Któż zdoła oddać słowami mękę umierającego starca i jego małych wnuczek, skazanych na śmierć przez imperializm. Jak odmalować ich cierpienia, jakimi słowami napiętnować siewców cholery?

Są ludzie, którzy nie chcą, nie mogą uwierzyć, aby takie zbrodnie były popełniane. Przecież nawet Hitler nie ośmielił się zastosować broni bakteriologicznej — mówią — czyżby Amerykanie byli...? Tak. To, czego nie ośmielił się zrobić Hitler — robią dziś żołdacy dolara. Supermistrz uzbójony w bombę bakteriologiczną zakasował „übermenscha” trującego ludzi cyklonem. To nie słowa, to fakty oskarżają imperializm amerykański o najpotworniejsze zbrodnie przeciw ludzkości.

Kenneth L. Enoch, nawigator bombowca „B-28”, zestrzelony 13 stycznia br. na półn. — zachód od Phenianu zeznał:

„25 sierpnia 1951 r. o godz. 13 min. 00 w gabinecie nawigacyjnym szkoły, w miejscowości Kunsan, przeprowadzono dla nas wykład, którego wysłuchało 10 pilotów i 15 nawigatorów... Wykład był ściśle tajny. Naszym instruktorem był Wilson... Wilson oświadczył, że tematem wykładu będzie wojna bakteriologiczna. Oświadczył on, że kraj nasz nie zamierza stosować broni bakteriologicznej natychmiast, niemniej jednak być może trzeba to będzie uczynić w przyszłości...”

Kenneth Enoch być może nie przypuszczał, jak niewiele czasu dzieli go od chwili, w której otrzyma rozkaz rzucenia bomb bakteriologicznych na ziemię koreańską.

„Wylecieliśmy — zeznał Enoch — o godz. 3 min 00 w kierunku Chwanczon i zrzuciliśmy dwie bomby bakteriologiczne na zachodnim krańcu miasta”.

Działo się to 6 stycznia 1952 roku. W cztery dni później Enoch

otrzymał nowy rozkaz, którego rezultatem były 4 bomby bakteriologiczne zrzucone „o godz. 4 min. 10 z wysokości 500 stóp przy szybkości 190 mil na godzinę, na zachodnie przedmieście Czunchura”.

To były pierwsze bomby bakteriologiczne zrzucone na Koreę. Na wielką skalę rozsiewanie bakterii chorobotwórczych zaczęli stosować agresorzy amerykańscy od 28 stycznia. I według niepełnych danych dokonali do 31 marca 804 śmiertelnych zrzutów.

„Nowoczesna strategia polega na niszczeniu wszystkiego” — grzmiał w jednym ze swych rozkazów kat Korei — generał Ridgway. Niszczyć wszystko, zabijać — to dewiza systemu, którego uosobieniem stał się generał — dżuma. Korea nie chciała się ugiąć przed ludobójcą, naród koreański walczy i zadaje na jeźdźcom ciężkie ciosy. A więc trzeba mordować! Armia amerykańska ma idealnych, w pojęciu zbrodniarzy, sojuszników — bakterie dżumy i cholery. Gangsterzy sądzili, że skoro nie udało się złamać oporu Koreańczyków terrorystycznymi nalotami i bombami napalmowymi, to uda się ten cel osiągnąć, siejąc dżumę. Ale przeliczyli się i tym razem. Potworna zbrodnia zamiast złamać opór narodu, wzmogła jeszcze bardziej nienawiść do ludobójców. I dziś już każdy rozumiał nieludzką treść określenia — amerykański imperializm.

Do zbrodni, której narzędziem stały się bakterie, przygotowywali się gangsterzy z Pentagonu i Białego Domu od dawna. Nie dla pięknych oczu sztab Mac Arthura w kilka miesięcy po rozgromieniu Japonii skierował do pracy w ośrodkach badań bakteriologicznych 18 specjalistów japońskich, mających „poważne kwalifikacje” z racji służby w epidemiologicznych jednostkach armii japońskiej. Nie przypadkowo profesor Theodor Rosebury, jeden z pracowników głównego ośrodka badań nad bronią bakteriologiczną w Camp Detrick (stan Maryland) ogłosił „pracę naukową” zatytułowaną „Pokój czy dżuma”, w której stwierdził:

„Moim zdaniem, określanie środków bakteriologicznych lub jakichkolwiek innych rodzajów broni jako specjalnie „groźnych” albo „gorszych” z punktu widzenia etyki, nie przynosi żadnej korzyści...”

Po co jednak sięgać wstecz, do setek wypowiedzi amerykańskich polityków i „uczonych” z lat 1946—1951, potwierdzających gorączkowe przygotowania do wojny bakteriologicznej. Oto 3 kwietnia br. — a więc wówczas, gdy mr. Acheson perorował, że wojna bakteriologiczna i broń bakteriologiczna to „wymysł komunistycznej propagandy” — dziennik „Washington Post” zamieścił na pierwszej stronie artykuł pt. „USA przechodzą od badań do produkcji broni bakteriologicznej”. W artykule czytamy:

„...armia przechodzi obecnie z fazy badań do fazy produkcji broni bakteriologicznych i powiększa rozmiary swego ośrodka badawczego w Camp Detrick, w ramach programu przewidujące-

go położenie większego nacisku na wojnę bakteriologiczną”.

W tym czasie, gdy Acheson i sztab jego rzeczników głosił wszem wobec, że twierdzenie o zrzutach bomb i ładunków zawierających owady i przedmioty zarażone dżumą jest niemożliwe, bo nie ma odpowiednich do tego celu urządzeń, przewodniczący podkomisji Izby Reprezentantów, Robert Sikes (deput. ze stanu Floryda), oświadczył przedstawicielowi „Associated Press”, że

„sposoby zrzucania bakterii na terytorium nieprzyjaciela są proste i wymagają jedynie wyposażenia, które armia amerykańska posiada już w dostatecznej ilości”.

Przerażeni skutkami popełnionej przez siebie zbrodni, gniewnym protestem całej ludzkości, gangsterzy chcieli się wyłgać, wykreścić... Zdemaskowały ich fakty, zdemaskowała ich własna prasa, olśniona nowym żerem dla hysterii wojennej. W głowach obłąkanych ludobójców rodzą się koszmarnie wizje, których realizację ułatwić mają bakterie. Jedną z takich wizji podaje „United Press”, cytując opinię ekspertów z grona współpracowników generała Bullene (szefa korpusu chemicznego), którzy „dali do zrozumienia, że można by użyć wielkich bomb lotniczych dla rozsiewania naładowanej bakteriami mgły nad miastami, bądź koncentracjami wojsk. Chmury zakazne można by tworzyć przy pomocy specjalnych pocisków wystrzeliwanych przez artylerię lądową, bądź z okrętów wojennych. Okręty podwodne wyposażone w olbrzymie rozpylacze mogłyby rozsiewać śmiertelną mgłę w pobliżu brzegów na znacznych obszarach. Trzy najczęściej wymieniane choroby zakaźne, stosowane jako broń bakteriologiczna przeciwko ludziom, to gorączka tyfusowa, żółta febra i dżuma”.

„Superman” marzy o roli kata ludzkości. Śni mu się świat wyludniony, miasta zamienione w pustynie, wsie, w których pełzają chmury pajaków wlokących w swym odwołku śmierć. W laboratoriach amerykańskich, nie tylko w Camp Detrick, mordercy w białych kitlach, głowią się nad tym, jakby zasnuć świat śmiertelnością mgłą. Amerykańscy piloci zrzucają na główki koreańskich dzieci bakterie dżumy. Bo dżuma, tyfus, cholera, żółta febra — to nowy żołnierz amerykański. Bo dżuma — to amerykańska wojna. Dżuma — stała się dziś symbolem imperializmu.

Być może, prezydent Truman drżącymi palcami otwierał ściśle tajne pakiety, szukając w nich sprawozdania, że na Korei wybuchł epidemia, że ludzie mrą tysiącami. Po to przecież startowali po nocach piraci w mundurach amerykańskich lotników. Na próżno! Nie ma epidemii ani w Korei, ani na północny Chin. Uczeń, lekarze, personel sanitarny Korei i Chin opanowali amerykańską śmierć, nie dopuścili do jej rozprzestrzenienia. Zbrodnia nie doprowadziła ludobójców do upragnionego celu. Zmobilizowała tylko przeciw siewcom dżumy bezgraniczny gniew i palącą nienawiść ludzkości. Ludzkości, która nie pozwoli, by śmierć zatriumfowała nad życiem.



Po przelotach amerykańskich samolotów mieszkańcy Korei znajdowali wielkie skupiska świerszczy zarażonych chorobami zakaźnymi.



Przedstawicielka Polski w Komisji Międzynarod. Zrzeszenia Prawników-Demokratów, Zofia Wasilkowska, wita się z Koreańczykami.



Wan Go-fu, chłop z okolic Antung, opowiada biologowi Czon Tsianten o znalezionych w swojej zagrodzie zarażonych owadach.



Przewodniczący Międzynarodowej Komisji Prawników-Demokratów, prof. Brandweiner — w rozmowie z chłopami koreańskimi.





# PRZECIW NIEWOLI I WOJNIE

Jacques Duclos i Marcel Cachin w pochodzie pierwszomajowym. Ostatnie zdjęcia Duclos przed wtrąceniem go przez policję Pinay'a do więzienia, gdzie nie zamilkł głos bohatera francuskiego ani nie osłabła jego wola walki. Oto słowa Duclos o rewizji policyjnej w jego mieszkaniu:

„Wykonawcy rozkazów rządu zdrady narodowej przyszli przeprowadzić u mnie rewizję. Odeszli srodze zawiedzeni, gdyż znaleźli tylko książki, wiele książek i zbiór publikowanej w konspiracji „Humanité“.

„Na tych bohaterskich kartach mogli byli znaleźć wezwanie do walki przeciw zdrajcom z Vichy i najeźcom hitlerowskim. Wezwanie to miałem zaszczyt podpisać wraz z naszym wielkim i drogim towarzyszem, Maurice Thorezem. Ku niemu kierują się w tej chwili nasze gorące myśli o ostatecznym zwycięstwie. Rząd rozpoczął walkę z naszą wielką Partią, która była duszą ruchu oporu przeciw hitlerowcom — w okresie, kiedy Pinay był radcą Petaina i robił interesy z okupantem. Powinien on być ścigany za brudne interesy.

„Ale tak dziś, jak i wczoraj, naród z klasą robotniczą na czele odniesie zwycięstwo nad zdrajcami.

„Jedność i działanie mas ludowych Francji wykażą Ridgwayowi i jego psom... że nasz kraj nie chce ani niewoli ani wojny“.

W wezwaniu, o którym mówi Jacques Duclos, widnieją słowa: „Naród francuski nigdy nie będzie narodem niewolników“. Pod tym hasłem naród francuski walczył z najeźdźcą hitlerowskim. Pod tym samym hasłem walczy dziś z najeźdźcą amerykańskim i jego francuskimi pomocnikami.

Biuro Polityczne Komunistycznej Partii wystosowało do Duclos list, który kończy się słowami:

„Protokół Biura Politycznego wykaże, że wszyscy działacze Partii Komunistycznej Francji — porwani przykładem Twojej odwagi i stanowczości — potrafią spełnić swój obowiązek komunistów, obowiązek proletariuszy Francji, kontynuować z entuzjazmem walkę celem zapewnienia Francji wolności demokratycznych, niezawisłości narodowej i pokoju.

„Zapewniamy Cię, drogi Towarzyszu Jacques, o naszej nierozdzielnej przyjaźni i o naszej niezłomnej pewności zwycięstwa socjalizmu“.



**P**ATRZYMY dziś na Francję jako bo-  
jownicy o tę samą co ona sprawę.  
Robotnicy Paryża, górnicy z Zagłę-  
bia Nord i Pas de Calais, dokerzy z Bres-  
tu i Marsylii, metalowcy z Bordeaux —  
bronią razem z nami pokoju Paryża,  
Warszawy, Moskwy i Phenianu. Każda  
paryska uliczka, każdy port francuski  
i każda fabryka jest odcinkiem naszego  
wspólnego frontu.

Zdecydowaną reakcją na aresztowania  
Duclos i Stila, na strzały policji i najście  
na lokal Komunistycznej Partii Francji  
— lud francuski dowiódł, iż wie o jaką  
idzie stawkę.

„Czyż może pan zabronić milionom  
Francuzów — pisze z więzienia do se-  
dzięgo śledczego André Stil — by potę-  
piali politykę agresji, politykę antyra-  
dziecką, ruinę Francji i przekształcania  
jej w pustynię, by potępiali politykę re-  
militaryzacji Niemiec pod hasłem od-  
wetu i politykę wewnętrznej wojny  
przyniesionej Francji, tak jak Korei,  
przez armię amerykańską? Czyż może  
im pan zabronić, by myśleli, że generał  
Ridgway — jak zresztą sam przyznał —  
przybył do Francji by kontynuować  
dzieło rozpoczęte w Korei? Napalm,  
bomby bakteriologiczne i masakry jeń-  
ców — to dla naszego narodu straszliwe  
ostrzeżenia. Utwierdzają one nasz na-  
ród w dążeniach do całkowitej zmiany  
polityki, do stworzenia rządu szerokiej  
unii demokratycznej, rządu niezależno-  
ści narodowej i pokoju. Stworzenie ta-  
kiego właśnie rządu masy pracujące  
uważają za decydujący etap walki o so-  
cjalizm, o obalenie ustroju opartego na  
wyzysku człowieka przez człowieka”.

Historia Francji dowodzi, że Francu-  
zom nie można zakazać myślenia ani nie  
można zakazać walki. Uwięzienie Jac-  
ques Duclos, jednego z ukochanych  
przywódców francuskiej klasy robotni-  
czej, bohatera Ruchu Oporu, znanego  
niemal każdemu dziecku, bojownika,  
przed którym drży reakcja francuska —  
stało się sygnałem do walki jeszcze  
ostrzejszej niż dotychczas.

Generalna Konfederacja Pracy wez-  
wała masy pracujące do rozszerzenia  
protestacyjnego ruchu strajkowego i  
ujęcia go w nurt świadomości organizo-  
wanej, skoordynowanej akcji w poszcze-  
gólnych gałęziach produkcji na obsza-  
rze całego kraju. „Należy kontynuować  
i potęgować ruch protestacyjny — gło-  
si odezwa C.G.T. — aż Duclos i wszyscy  
inni aresztowani znajdą się na wolności,  
aż zmusimy rząd do szanowania wolno-  
ści zrzeszania się, wolności zebrania, mani-  
festacji i prasy, do zadośćuczynienia żą-  
daniom klasy robotniczej”.

Francja jest ojczyzną Wielkiej Rewo-  
lucji, Komuny Paryskiej i Ruchu Oporu,  
któremu przewodziła partia Thoreza i  
Duclos, wielka „partia rozstrzelanych”.  
O zwycięstwo tej Francji, o klęskę ame-  
rykańskich najeźdźców i francuskich  
„grabarzy wolności” toczy się dzisiaj  
walka na ulicach Paryża, Lyonu, Borde-  
aux i Marsylii.



Przebijając się przez gęste kordony policji, setki studentów paryskich skierowały się na plac Odeonu, wnosząc okrzyki: „Ridgway mordercą!”, „Lud francuski nigdy nie pozwoli, by ojczyzna jego stała się drugą Koreą!”, „Precz z Ridgwayem!”.

## NA ULICACH MIASTA KOMUNY



Strajkujący robotnicy zebrali się przed fabryką. Kolportują „Humanité”. Czekają na powrót delegacji, która żądała natychmiastowego zwolnienia towarzyszy aresztowa-  
nych przez policję francuską na rozkaz amerykańskiego generała - dżumy.



Na placu Stalingradu policja ciężko zra-  
niła robotnika Hocine, ojca czworga  
dzieci. Umarł on z otrzymanych ran.



Manifestacją gniewu i oburzenia przywitał lud Paryża przybycie generała Ridgwaya  
do Francji. Olbrzymi pochód przeciąga placem Clichy, kierując się do środka miasta.  
Na niesionych transparentach czytamy: „Ridgway go home!”, „Chcemy pokoju!”.



W miastach i wsiach francuskich odbywają się masowe wiece protestacyjne przeciw  
aresztowaniu Jacques Duclos i André Stila. CGT wezwała klasę robotniczą do  
strajków przeciw faszystowskim prowokacjom znenawidzonego rządu Pinaya.





WIDOK OGÓLNY KRAKOWA WEDŁUG DRZEWORYTU ZAMIESZCZONEGO W ŚREDNIOWIECZNEJ „KRONICE ŚWIATA” H. SCHEDLA (ROK 1492).

# „POLSKIE GO WYDAŁO PLEMIE, WSTRZYMAŁ SŁOŃCE, WZRUSZYŁ ZIEMIĘ”

Napisał ANATOL STERN

**U**JRZEC pod brązem, którym ludzkość wyraziła swój podziw i swą wdzięczność Kopernikowi, żywego człowieka — nie jest prostym zadaniem. Prawda, którą odkrył znana jest dzisiaj każdemu niemal dziecku w Polsce. Wydaje się ona prosta i jasna, jak to słońce, które wstrzymał w jego pozornym codziennym biegu po sklepieniu niebios. Jakże olbrzymich zmagani jednak trzeba było — zmagani z wszechpotężnym wówczas autorytetem kościoła, który pragnął utrzymać masy ludzkie w ciemnocie, z tradycją wreszcie ówczesnej wiedzy — aby prawda ta zwyciężyła!... Jakże fantastyczne koleje przechodziło dzieło Kopernika, zanim mógł wreszcie oświadczyć Stanisław Staszic rodakom: „Kopernik jest chlubą najośniejszych wieków, jest zaszczytem naszego narodu, jest sławą Polaków”.

Kiedy przyglądamy się pomnikowi Kopernika przed pałacem Staszica, czyż nie uderza nas ów zastanawiający wyraz nadziejskiego spokoju, który nadał Thorwaldsen rysom genialnego astronoma?... Wydaje się, że uczony, zaklęty w brąz przez duńskiego rzeźbiarza, miał zawsze wzrok utkwiony w gwiazdzystych przestworzach, że obcy był wszelkim sprawom ziemskim. Czy wielu spośród nas domyśla się jakie burze w istocie targwały nim w życiu?...

## CZASY KOPERNIKA

Ludzkość przeżywała wówczas jeden z najwspanialszych okresów w swych dziejach: były to czasy Odrodzenia. Zaledwie pięć lat przed narodzeniem Kopernika umarł wynalazca druku, Jan Gutenberg: słowo wiedzy od niedawna dopiero przestało być zazdrośnie strzeżoną własnością wybranych i zaczęło się powoli wciskać w każdą szczylinę życia. Gdy zaczął studiować astronomię w Akademii Krakowskiej, Kolumb odkrył Amerykę — w sześć lat później Vasco da Gama trafił na drogę do Indii Wschodnich — a wkrótce potem Magellan objechał kulę ziemską dookoła, stwierdzając po raz pierwszy w historii świata, niejako „namacalnie”, że jest ona kulą. Genialni artyści: Rafael, Michał Anioł, Leonardo da Vinci — żyli i tworzyli w tym samym czasie co Kopernik.

Czym się tłumaczy ten nagły rozwój sztuki i wiedzy po wiekach zastoju?... W ogromnej mierze tym, że nowe siły społeczne wypłynęły na widownię dziejową. Kopernik, którego nazwano „pierwszym rewolucjonistą czasów nowych”, nie był osamotniony, miał sprzymierzeńców w tych ludziach, którzy obalali dawne wyobrażenia o świecie i życiu.

Fryderyk Engels mówi następująco o tej epoce:

„...Wraz z rozkwitem burżuazji postępował krok za krokiem naprzód gigantyczny wzrost wiedzy. Odżyło zainteresowanie astronomią, mechaniką, fizyką, anatomią, fizjologią. Burżuazji dla rozwoju jej przemysłu potrzebna była nauka, która by badała właściwości ciał fizycznych i formy, w których wypowiedziały się siły przyrody. Aż do tego czasu nauka była pokorną służką kościoła, której nie pozwalano wykraczać poza granice wyznaczone przez religię... Obecnie nauka powstała przeciwko kościołowi; burżuazji potrzebna była nauka, przeto wzięła ona udział w tym powstaniu” (\*).

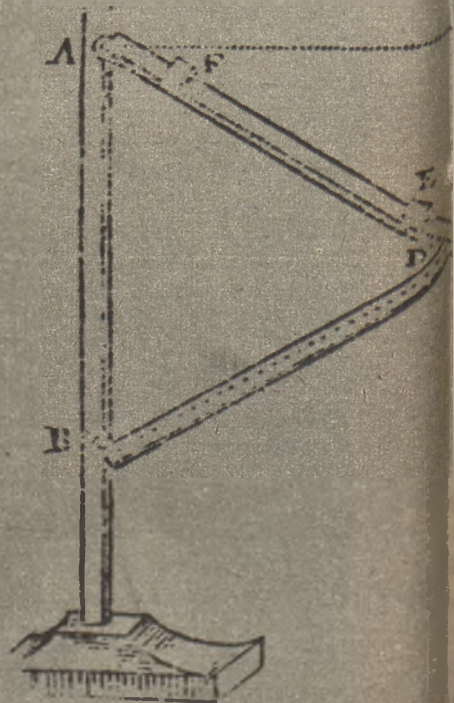
Renesans ducha był ściśle sprzęgnięty z rewolucją ekonomiczną, ze zdobywaniem sobie miejsca na widowni politycznej przez burżuazję. Z czasem mieszczaństwo miało zwyrodnąć, ustąpić miejsca zwycięskiemu proletariatu, siłę, która pierwsza rozpoczęła planową gospodarkę dobrami materialnymi świata. W owym czasie jednak odegrało ono rolę postępową.

Nie oznaczało to jednak, że stary świat bez walki ustępował z widowni dziejowej. Kościół był wciąż jeszcze u szczytu potęgi i miał na swe usługi żołnierzy i filozofię. Jednym z najsilniejszych zaś bastionów średniowiecznej filozofii był obraz świata, w który kazano wierzyć ludziom. I tu wkraczamy w dziedzinę, w której decydujący cios kościołowi miał zadać Kopernik — w dziedzinę astronomii.

Oczywiście, kościół już dawno nie upierał się przy naiwnych wyobrażeniach takich pisarzy swoich, jak Laktancjusz, którzy zapewniali, że świat jest płaski jak stół

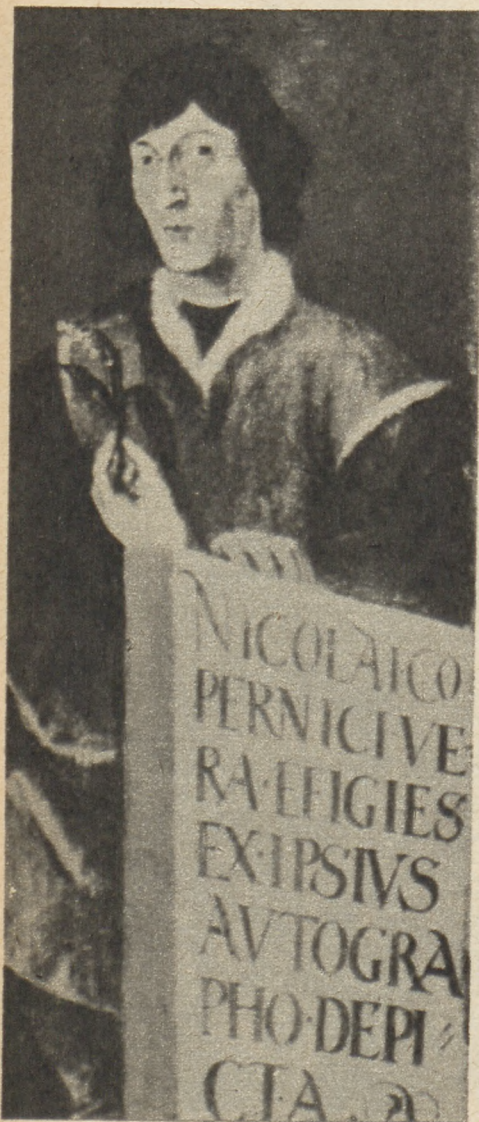
(\*) cyt. wg. pracy S. D. Skazkina „Epoka Kopernika i jej ludzie”, wyd. Akademii Nauk ZSRR, 1947, — str. 52.

*P*tolemaeus *typus magnitudinis*  
*bunt Regiomontanus, Copernicus*  
*usu, quia instrumenti istius op*  
*culo verticali, eo praeipue tempor*  
*etus e polo zodiaci transit per polu*  
*lemas fabricam describit lib. 5*  
*etiam mensurat sibi dono missum*  
*quendam usum fuerit Copernicus.*



*foramen in F sit majus quam in*  
*sed corpora oblonga ac crassa, per*

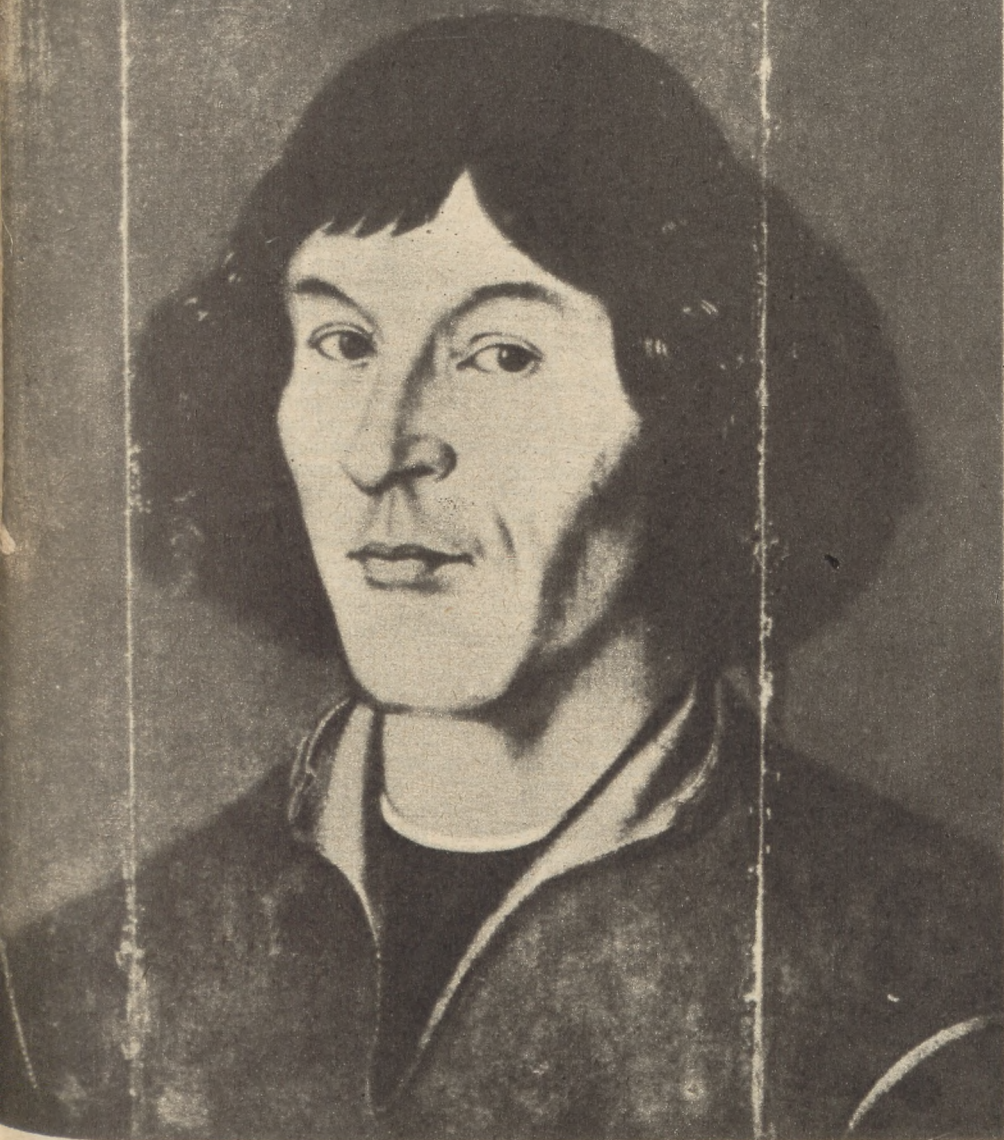
Karta z III wydania „Obrotów” ze schematu



MIKOŁAJ KOPERNIK

Obraz olejny na zegarze astronomicznym w katedrze w Strassburgu.





KOPERNIK — OBRAZ OLEJNY Z XVI LUB POCZĄTKU XVII W.

appellatur, non Parallelum, ut scri-  
bit Tycho Brahe, nomen habet ab  
circulo Luna Parallelum in cir-  
culo quando circulus magnus de-  
clinat, & per centrum Luna. Pto-  
lemaeus & Tycho in Mechanicis: ubi  
est instrumentum Parallelum, quo

AB linea est  
ad verticem erecta  
pedestali, uti vo-  
cant infixa. AB &  
AD aequales sunt  
lineae, BC vero  
tanta est, quanta  
epi debet ut angu-  
lus in A sit rectus  
quoties extrema-  
tes D & C iun-  
guntur in puncto  
G.

Linea BC di-  
uisa est in partes  
1414, quales part.  
AD continet 1000.

F & E Ptole-  
maeus sunt apud  
tycho in me-  
dio perforata sunt  
Sunt autem transparentia non laminae,  
transmissus radius visus non vacillat.  
In trian-

cznym rysunkiem narzędzia paralaktycznego.

i otoczony nieskończonym oceanem. Nauka kościelna dawno już zaadoptowała system astronomiczny filozofa aleksandryjskiego Ptolomeusza, system geocentryczny, którym posługiwała się od czternastu wieków. Według tego systemu ośrodkiem świata była ziemia, dookoła zaś niej obracały się słońce i planety, otoczone sferą gwiazd stałych, nieruchomych. Nad nimi kościół umieścił siedzibę Stwórcy wszechświata, otoczonego świętymi i aniołami najrozmaitszej rangi. Aby wyjaśnić zmienne i skomplikowane zjawiska astronomiczne, Ptolomeusz obciążył swój system nie mniej skomplikowaną machiną kół fikcyjnych (tzw. epicyklów), po których orbicie krążyły planety.

Co wynikało z tego systemu?... Przede wszystkim niewzruszona hierarchia panująca we wszechstworzeniu. Podobnie jak ziemia była ośrodkiem kosmosu i dla niej stworzył Bóg słońce i planety — podobnie namiestnik piotrowy, który reprezentował Boga na tronie papieskim był władcą wszystkiego, co ziemskie. Jemu to musieli podporządkować się w swej hierarchicznej kolejności monarchowie, książęta i szlachta, zaś podły gmin, czyli mieszczenie i chłop, powinni byli pracować na nich, wynagradzając ich za ciężki trud rządzenia nimi. Był to usankcjonowany i popierany przez kościół najbardziej nieludzki wyzysk i korzystanie z niewolniczej pracy poddanych.

I teraz jasne się staje, dlaczego kościół tak gwałtownie bronił się przeciwko wszelkiej wolnej myśli, dlaczego obwarował się przed nią murem klątwy, więzień i tortur inkwizycji. Tę to, niewzruszoną zdawało się, twierdzą ciemnoty miała zburzyć genialna myśl filozofa, zamieszkującego przez długie lata we Frymborku, nad zatoką Bałtyku.

#### PIERWSZE LATA

Mikołaj Kopernik urodził się 19 lutego 1473 w Toruniu. Rodzina jego należała do patrycjatu kupieckiego tego wielkiego na-  
ówczas ośrodka handlowego przez który szły zarówno drogą lądową jak Wisłą towary z Europy Zachodniej do Węgier i Polski. I niewątpliwie środowisko, z którego pochodził Kopernik, odegrało rolę olbrzymią w dziejach jego myśli, chociaż on sam mógł sobie tego nie uświadamiać. Zapewniało ono



KOPERNIK DYSPUTUJĄCY Z ARYSTOTELESEM I PTOLOMEUSZEM.

wyższe wykształcenie, a nawet odgrywanie dużej roli w sprawach polityki państwa. Dość powiedzieć, że dziad Mikołaja należał do tzw. „Związku Jaszczurczego”, który walczył z zaborczym Zakonem Krzyżackim i na którego prośbę król Kazimierz Jagiellończyk dokonał przyłączenia Prus Wschodnich do Polski.

Wuj Mikołaja, jedna z najciekawszych postaci politycznych polskiego Renesansu, biskup Łukasz Watzelrode, staje się opiekunem młodego chłopca, gdy osieroca go ojciec. Sam zrobił zdumiewającą karierę: od najniższych stopni w hierarchii kościelnej wzniósł się z czasem do roli księcia kościoła, niemal samowładcy na tronie biskupim Warmii. Jest jednym z doradców kolejno trzech królów polskich: Jana Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta I. Postanawia pokierować też siostrzeńcem tak samo, jak pokierował sobą. Niewątpliwie przeznacza dlań rolę swego następcy na tronie biskupim Warmii.

On to skierowuje Mikołaja wraz ze starszym bratem Andrzejem do Alma Mater Jagiellońskiej, w której sam niegdyś studiował. Sławny na świat cały uniwersytet krakowski, współzawodniczący z najświetniejszymi i najstarszymi akademiami Europy, norymberską i paryską, skupiał wówczas w swych murach kwiat uczonych nie tylko polskich, ale i z krajów Zachodu. Tu wykładał Kallimach, który uciekł przed prześladowaniami papieża Pawła III do Polski i torował drogę humanizmowi, coraz gwałtowniej atakującemu ciemną myśl scholastyczną. Tu wykładał również astronomię sławny Wojciech z Brudzewa.

Astronomia!... Stała ona w akademii krakowskiej niezwykle wysoko. W ówczesnej „Kronice świata” Schedla czytamy wśród innych pochwał na cześć tego uniwersytetu: „Najbardziej jednak kwitnie tam astronomia, a pod tym względem, jak wiem o tym od licznych mężów, w całych Niemczech nawet nie ma sławniejszej akademii”. Nie ulega wątpliwości, że temu właśnie należy przypisać namietne zainteresowanie się młodego Mikołaja tą właśnie dziedziną wiedzy.

Jest rzeczą zrozumiałą, że labirynt epicykli, na który natknął się Kopernik stu-

diując zawikłany system ptolomeuszowski, musiał budzić niepokój i wątpliwości w wielu. Budziły je zresztą od dawna. Toć już „astronom na tronie”, król portugalski Alfons, opatrzył system ptolomeuszowski takim sarkastycznym komentarzem: „Szkoda, że Stwórca nie poradził się mnie tworząc swój wszechświat: ja bym go zbudował prościej!”

Sama nawet rzeczywistość przeczyła obliczeniom ptolomeuszowskim. Co pewien czas — by być w zgodzie z kalendarzem trzeba było wprowadzać do systemu poprawki, komplikując ów system kół i kółek po których krążyły planety.

I oto pierwsze znamiona wyjątkowości Kopernika. W ciągu stuleci niezliczone rzesze uczonych wszystkich narodów godziły się z oczywistymi błędami panującego systemu astronomicznego, jako ze złem koniecznym. On pierwszy wystąpił przeciwko temu od wieków trwającemu kompromisowi.

W ówczesnych akademiach studiowano pisma starożytnych autorów. Zaszczytne miejsce pomiędzy nimi zajmował „król krasomówców”, Cyzero. I otóż w jednym z pism tego autora, zatytułowanym „Sen Scypiona”, znajduje się obraz wszechświata, w którym miejsce środkowe zajmuje „słońce — wódz i przewodnik wszystkich światła”. Można przypuszczać, że Mikołaj słuchał wykładów o tej fantazji sennej Scypiona, której źródłem były teorie astronomiczne antycznych filozofów greckich. Pisze on bowiem w późniejszej przedmowie do swego dzieła „O obrotach”: „I oto znalazłem najpierw u Cyzerona, że Nicetas mniemał, jakoby ziemia się poruszała...” Późem powołuje się na szereg innych autorów starożytnych, którzy byli tego samego zdania.

I tutaj znów spotykamy się ze znanymi nam geniuszu. Czyż teorie te nie były znane szeroko w świecie uczonych?... Niewątpliwie, były znane, ale traktowano je jako ubrane w astronomiczną terminologię baśnie. On jeden, młody student akademii krakowskiej, nie przeszedł lekceważąco koło nich. Jego jednego zapłodniły one i pobudziły do mozolnej pracy zbadania ich prawdziwości.

Dokończenie na str. 20



# SKRZYDŁA NAD BIEGUNEM

Dom na biegunie — „Titanic“ i pomidory — Igła z kropką w środku — Kto jest szalbierzem? — Tylko przez powietrze — Notes inżyniera André — Stacja „Biegun Półn.” — „Finansowa” rozmówka — Dwa współzawodnictwa.

**D**YSKUSJA toczyła się między dwoma uczniami dwujęzycznej klasy i miała mniej więcej taki przebieg:

— Jak sądzisz, czy można zbudować dom, który by miał okna we wszystkich ścianach i wszystkie te okna wychodziłyby na południe?

— Hm, bo ja wiem... Zdaje się, że nie można.

— A właśnie można!

— Jak?

— Nie jak, tylko gdzie. Na biegunie północnym! Zgadza się?

— Tak, wydaje się, że masz rację. Na biegunie północnym... No, tak, na biegunie jest tylko jedna strona świata — południe. I tam zbudować dom, to wszystkie okna... A ja ci zaraz udowodnię, że nie masz racji!

— Proszę cię bardzo! Ale sam dopiero mówiłeś, że na biegunie północnym — w którą stronę nie popatrzyś — masz tylko południe...

— To wszystko prawda. A mimo to nie zbudujesz takiego domu. Jak długo chcesz go na przykład budować?

— Powiedzmy tydzień.

— A na czym?

— Nie mam żadnego wyboru. Oczywiście na lodzie, na polu lodowym.

— Otóż to właśnie! Zanim ten dom zbudujesz, pole lodowe przesunie się o jakieś sto kilometrów — i guzik z twojego zamierzenia. A nie zaprzeczysz, że pola lodowe w okolicy bieguna północnego stale dryfują, przynoszą się...

Dyskusja na tym się nie zakończyła. Możliwe nawet, że trwa do dziś — różne bowiem problemy związane z biegunem i w ogóle z Arktyką, nie zostały jeszcze całkowicie wyjaśnione.

Wiemy, że na biegunie jest zimą znacznie cieplej, niż na przykład w Jakucku czy Wierchojańsku, wiemy, że w pobliżu bieguna nie ma żadnego lądu ani wysp. Wiemy jeszcze setki innych rzeczy — ale wszystko to razem nie wystarcza. Arktyka bowiem narażała i naraża nas na rozmaite, mniejsze i większe przykrości: od „Titanica”, który zatonął jeszcze przed pierwszą wojną na skutek zderzenia z górą lodową na A-

lantyku, do pomidorów, które ucierpiały przez niedawne majowe chłody.

Najprostsza droga uniknięcia tych arktycznych złośliwości — to poznanie Arktyki, zbadanie temperatur, prądów morskich, wiatrów, drogi pól lodowych, rozchodzenia się zimnego powietrza arktycznego... Ale ta prosta droga nie należy do łatwych. Próby przedostania się w okolice bieguna trwały kilka wieków. Wielu śmiałych badaczy przypłaciło życiem swoje wyprawy do „krajów białej śmierci”.

Dziesiątki ekspedycji gromadziły cenne doświadczenia, rozwój techniki ułatwiał coraz głębsze przenikanie do strefy wiecznych lodów podbiegunowych. I dopiero w początkach bieżącego stulecia udało się „zdobyć” biegun północny. Jak do tego doszło? Okoliczności tego wydarzenia wymagają, by przytoczyć jedną z niezliczonych anegdot o marsylskich przyjaciółch Mariuszu i Olive.

Po długim niewidzeniu się Mariusz i Olive spotykają się, oczywiście w Marsylii, w knajpie przy szklance wina. Po radosnym powitaniu przyjaciele opowiadają sobie przygody, które przeżyli. Zaczyna Mariusz:

— Wiesz, w ostatnich miesiącach brałem udział w wyprawie na statku wielorybniczym. Trafiliśmy harpunem wieloryba, który był większy, niż port w Tulonie. Ranne zwierzę ciągnęło nas na linie coraz dalej na północ. Tak dotarliśmy do samego bieguna. Cheesz zapewne wiedzieć, jak ten biegun wygląda? Otóż jest to olbrzymia igła lodowa, ma chyba kilometr średnicy i sterczy pionowo z oceanu. Widziałem ten biegun tak, jak teraz ciebie widzę...

— Czekaj — przerywa mu Olive. — W takim razie musiałeś także zauważyć gdzieś w połowie wysokości tej igły mały, czarny punkcik, który powolutku posuwał się w górę. Widziałeś?

— Hmm... — zastanawia się zbity nagle z tropu Mariusz — no tak, mam wrażenie, że widziałem coś w tym rodzaju. A bo co?

— To właśnie ja byłem — kończy Olive.

Bardzo podobna do tej anegdoty jest historia odkrycia bieguna północnego w roku 1909. W lutym tego roku ruszyła na szturm bieguna ekspedycja, na której czele stał Robert Peary, człowiek o wielkiej energii, ogromnej sile woli i ambicjach sportowca. Do swej wyprawy przygotowywał się i trenował 23 lata.

Ekspedycja Roberta Peary była bardzo liczna i doskonale wyekwipowana w narty, sanie, psy i sprzęt pomocniczy. Po przekroczeniu 87 stopnia szerokości północnej, Peary — jak to podaje sam w swym dzienniku — odesłał licznych pomocników w drogę powrotną, a do bieguna ruszył tylko w towarzystwie Murzyna i czterech Eskimosów: uważał, że jeśli będzie pierwszym białym, który stanie na biegunie, osiągnie w pełni swój cel; kolorowych przecież nie trzeba liczyć...

Peary podał po powrocie, że 6 kwietnia 1909 roku osiągnął biegun północny i nazajutrz ruszył z powrotem. W Ameryce przywitano go jak bohatera narodowego. Ale... w kilka dni później inny podróżnik amerykański, niejaki doktor Cook ogłosił, że był na biegunie wcześniej, niż Peary. Miał nawet dowody w postaci zdjęć fotograficznych z bieguna...

W prasie amerykańskiej zawrzało. Natychmiast nastąpił podział na dwa wrogie obozy. Obaj podróżnicy obrzucali się na łamach gazet stekiem wymysłów i oskarżeń o szalbierstwo. Skandal przybierał coraz szersze rozmiary — do tego stopnia, że w końcu dla rozstrzygnięcia sporu wyłoniono specjalną komisję rządową.

Z Cookiem załatwiono się bardzo szybko. Zdradziły go jego własne zdjęcia: przez zestawienie długości cieni na zdjęciu z porą roku i dnia, w którym zostały wykonane, stwierdzono, że Cook dokonał zdjęć w odle-



Trasa przelotu Czałowa z Moskwy do Portland w czerwcu 1937

głości co najmniej 800 kilometrów od bieguna.

Poważne zastrzeżenia wzbudził także wyczyn Roberta Peary. Podróżnik podawał, że ostatnie 225 kilometrów przebył w przeciągu 5 dni. Natomiast doświadczenie wielu wypraw, w tym także i samego Peary, wskazywało, że przez pola lodowe nie można iść w tempie większym, niż 15-20 kilometrów na dobę. Słowem — sprawa mocno wątpliwa. Komisja uwzględniła jednak, że dyskwalifikacja obu przeciwników byłaby ciosem dla prestiżu Stanów Zjednoczonych i ogłosiła, że Peary dotarł do 89°55'24" szerokości północnej, a więc był w rejonie bieguna północnego. Naukowe znaczenie obu wypraw było oczywiście minimalne.

Inaczej zresztą być nie mogło. Wyprawy na sanach ciągniętych przez psy nie mają możliwości zabrania ze sobą sprzętu naukowego w dostatecznej ilości. Trudne warunki wyprawy wymagają, by brać zapasowe narty zamiast hygrometrów, czy więcej suszonej ryby zamiast

ciężkich aparatów do badania magnetyzmu ziemskiego.

Ekspedycje Nansena i Siedowa na statkach nie mogły dotrzeć zbyt daleko w głąb Arktyki, bo stanęły im na przeszkodzie pola lodowe. Niefortunna wyprawa Wilkinsa na łodzi podwodnej wykazała, że i pod lodem trudno szukać drogi do serca Arktyki.

Pozostaje jedna możliwość: droga powietrzna. Do tego wniosku doszedł 60 lat temu szwedzki inżynier i badacz André. Zorganizował on wyprawę biegunową na balonie — w tym czasie był to przecież jedyny środek komunikacji powietrznej. André i towarzysze startowali ze Szpicbergu w roku 1897. Jednakże śmiały zamiast szwedzkiego inżyniera nie został zrealizowany — balon zaginął bez śladu.

Dopiero w roku 1930 natrafiono na wyspie Białej na szczątki zamarzłych uczestników wyprawy. Znalezione notesy André, z którego odczytano przebieg katastrofy, jaka spotkała aeronautów wkrótce po starcie oraz ich dalsze losy. Ostatnie zdanie notatek brzmiało: „Będziemy latać jak orły i nic nie złamie naszych skrzydeł!”

Takie właśnie skrzydła, których nic nie było w stanie złamać, dał badaczom polarnym Związek Radziecki. Mija właśnie 15 lat od największej w historii wyprawy polarnej, wyprawy, która wzbogaciła naukę ogromnym materiałem faktycznym, wyprawy, w której główną rolę odegrały skrzydła radzieckich lotników.

Wiosną 1937 roku ekipa transportowców polarnych przerzuciła na wyspę Rudolfa (900 km od bieguna) znakomicie wyposażoną ekspedycję. Kierownikiem jej był bohater z „Czeluskiń”, wybitny uczonec Szmidt. Z kolei w końcu maja samoloty startujące z wyspy Rudolfa wysadziły na biegunie północnym (por. zdjęcie tytułowe) desant: czteroosobową wyprawę naukowców. Założyli oni na polu lodowym polarną stację badawczą „Biegun Północny” i natychmiast przystąpili do pracy. Wyniki badań przekazywali drogą radiową na ląd stały.

Dnia 19 czerwca rano 1937 roku stacja „Biegun Północny” nadała między innymi radiogram: „Słychać nad nami wyraźne szum przelatującego samolotu”. Cóż to był za samolot? Był to ANT-25, maszyna Walego Czałowa.

Wiele śmiałych wyczynów wiąże się z nazwiskiem tego znakomitego lotnika. Ale największym chyba był lot bez lądowania, dokonany na trasie Moskwa — biegun północny — Stany Zjednoczone. Był to nie tylko wyczyn sportowy najwyższej klasy, ale także próba samolotu w niezwykle trudnych warunkach lotu polarnego oraz — co najważniejsze — praca naukowa, która przyniosła wiele cennych danych o warunkach atmosferycznych basenu polarnego.

ANT-25 z trzyosobową załogą w składzie: Czałow, Bielow, Bajdukow — startował z lotniska Szczolokowskiego pod Moskwą 18 czerwca o godzinie 4.05 rano. Ciężko naładowany samolot (paliwo na 10.000 kilometrów lotu!) z trudem oderwał się od ziemi. Po 63 godzinach i 25 minutach lotu ANT-25 wylądował

w mieście Portland (USA), przebywszy ponad 10 tysięcy kilometrów. Z powodu oblodzenia maszyny i ciągłych mgieł znaczna część lotu odbywała się na wysokości 4000 metrów, a częściowo 6000 metrów nad poziomem morza. Lotnicy musieli czterokrotnie staczać zaciekle boje z szalejącym cyklonem. Wylądowali po całkowitym wyczerpaniu się benzyny oraz tlenu w aparatach tlenowych.

Tysiące Amerykanów entuzjastycznie witają radzieckich lotników: nieprzerwane wywiady, zdjęcia, rozdawanie autografów, bankiety... Słynna się już stała „finansowa” rozmówka Czałowa z pewnym amerykańskim bankierem:

— Czy pan jest bogaty, mi-

ster Czałow?

— O tak, bardzo bogaty! Mam 170 milionów.

— 170... czego, rubli czy dolarów?

— Nie. 170 milionów ludzi,

którzy pracują dla mnie tak, jak

ja pracuję dla nich...

Mniej znana jest historia pewnej rozmowy telefonicznej, jaką Czałow prowadził jeszcze z Ameryki ze swym „konkurentem” Michałem Gromowem. Czałow wiedział, że Gromow przygotowuje się do przelotu po tej samej co on trasie. I w pierwszych dniach pobytu w USA poprosił o telefoniczne połączenie z Gromowem. Gospodarze byli przekonani, że Czałow oświadczy: „Towarzyszu Gromow, nie macie prawa lecieć po tej samej trasie. Prawo przelotu nad biegunem zdobyłem ja i wypraszam sobie...” i tak dalej. Ku zdumieniu Amerykanów Czałow poinformował dokładnie Gromowa o trudnościach lotu, udzielił wielu cennych rad, prosił, by Gromow możliwie starannie przygotował się...

Lot „konkurenta” odbył się w dniach 12-14 lipca tegoż roku. Gromow wylądował w San Giacinto (Kalifornia) i przeleciał 10.148 kilometrów, bijąc rekord światowy. Nadawcą pierwszej depeszy gratulacyjnej, jaką otrzymał Gromow po przelocie, był... Czałow.

\* \* \*

Wydaje się, że mogliśmy sobie pozwolić na małe porównanie: współzawodnictwo Peary-Cook tak się ma do współzawodnictwa Czałow-Gromow, jak moralność kapitalistyczna do moralności socjalistycznej.

EDWARD KARŁOWICZ



Szwedzki badacz polarny S. A. Andrée (zdjęcie z 1896 roku).



Walerij Czałow, jeden z najwybitniejszych lotników na świecie.



GUSTAW MORCINEK: „URODZAJ LUDZI”. Wydawnictwo MON. Warszawa, 1951.

Czytelnicy poprzedniej powieści Morcinka „Pokład Joanny”, odznaczonych przed rokiem nagrodą państwową, przypominają sobie zapewne scenę, która dzięki swojej wyrazistości i sugestii artystycznej musiała wryć się każdemu w pamięć. Był to opis ucieczki dwóch ludzi z kopalni obstawionej przez gestapo. Przez szyb wentylacyjny wymykają się górnik Kudera, dowódca grupy sabotażowej oraz żołnierz radziecki Maszka, który skierowany jako jeńiec do pracy w kopalni rozpiął niemieckiemu sztygarowi łeb za znechanie się. Losy Kudery i Maszki od ucieczki do powrotu w chwili wyzwolenia, o których „Pokład Joanny” jedynie wzmiankował, stanowią właśnie szczegółowy przedmiot relacji nowej powieści. Organizacja PPR kieruje uciekinierów do oddziału AL, operującego w Beskidzie Śląskim, i tak oto rozpoczyna się opowieść o dziejach partyzanckiej walki proletariatu śląskiego z hitleryzmem.

Nowy utwór Morcinka, aczkolwiek zaopieczony z poprzedniej powieści bohaterów, stanowi autonomiczną i zamkniętą w sobie całość; ci, którzy nie znają dawnych losów Kudery i Maszki, nie odczuwają jakiegokolwiek braku. Przy charakterystyce jednak „Urodzaju ludzi” warto wskazać na momenty, które w rozwoju pisarza uwidoczniły właśnie po raz pierwszy „Pokład Joanny”. Morcinek w swoich zainteresowaniach pisarskich zostaje nadal wierny terenowi Górnego Śląska, który wprowadził do literatury i upamiętnił w licznych książkach. Ale spojrzenie na opisywane środowisko sięga teraz szerzej i głębiej. Opis 90 lat losów kopalni w „Pokładzie Joanny” uwypukla to, czego przedtem autor nie dostrzegał dostatecznie wyraźnie, mianowicie konflikty walki klasowej, która kształtuje historię, i rolę klasy robotniczej, której siłę wyzwała wzrost ideologii rewolucyjnej. Przedstawiony w „Urodzaju ludzi” fragment bohaterskiej walki proletariatu śląskiego z hitleryzmem o wyzwolenie narodu, stanowi dalszy dowód pogłębiającego się zrozumienia przez autora roli klasy robotniczej.

Obraz bojów śląskich partyzantów AL, jaki zawiera powieść, akcje wysadzania pociągów idących z amunicją na front wschodni, eskropriacje broni i żywności, starcia z esmańskimi ekspedycjami karnymi, zarysowany jest na ogół trafnie i sugestywnie. Morcinek potrafił oddać nie tylko patos walki, ale i przenikającą AL-owców świadomość, że pomagają na swoim odcinku nadchodzącej z wyzwoleniem Armii Radzieckiej. W bohaterach, górnikach zahartowanych ostrymi walkami klasowymi, nędzą, bezrobociem i strajkami, oddziaływanie ideologiczne PPR umacnia wiarę, że zwycięstwo nad hitleryzmem oznaczać będzie początek świata lepszego i sprawiedliwego. „U was — mówi o tym Kudera do Maszki — wraz z władzą radziecką rosło młode pokolenie nie znające nędzy ani wyzysku. A u nas to piękne życie, o które walczymy, dla wielu jest tylko marzeniem”. Cennym osiągnięciem „Urodzaju ludzi” jest to, że ukazuje wyraźnie, jak właśnie walka o to marzenie dodawała siłę, czyniła bojowników AL nieugiętymi w ich bohaterstwie.

Morcinek był od r. 1939 więźniem hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Nowa jego powieść stanowi dowód, że dzięki darowi wyobraźni, ale przede wszystkim wysiłkowi ideowemu, potrafił wczuć się w sprawy, których nie mógł być uczestnikiem ani nawet obserwatorem. „Urodzaj ludzi”, mimo iż zakres tematyczny obejmuje tylko fragment okresu okupacyjnego na Śląsku, mimo iż utwór nie jest nieraz wolny od niedomagań, stanowi pozycję, która zasługuje na zainteresowanie ze względu na ambicję ujęcia ważnych spraw i wydarzeń, które nie były dotąd dostatecznie zapisane w naszej literaturze.

(hm)

## nasz fotokorespondenci donoszą

### LUDZIE Z „MŁODEJ GWARDII”

Z urodzajnej ziemi jaro-sławskiej dziesiątki tysięcy dochodu szły na zaspokojenie wystawnego i hulastycznego życia magnackiej rodziny Zamajskich. Dziś na 735-hektarowym gospodarstwie krząta się zespół spółdzielczy „Młodej Gwardii”!

Jest to przeważnie młodzież ZMP-owska, która w roku 1949 przyjechała do Wietlina z różnych stron południowej Polski, aby wziąć pod uprawę ziemię od 5 lat leżącą odłogi. Była już tak twarda, że nawet ciężkie pługi nie mogły dać jej rady. Zapał młodzieży okazał się jednak silniejszy.

Po trzech latach ciężkiej pracy członkowie spółdzielni mieszkają w murowanych, dobrze umeblowanych domkach, a wspólnie gospodarstwo rozwija się jak najpomyślniej. W nowoczesnej oborze stoją dobrze utrzymane, wysokocieczne krowy, w stajniach silne konie robocze o lśniących sierści.

Zadowolające są również wyniki pracy w polu. Zbiór buraków cukrowych w roku ubiegłym był rekordowy, przeszło 20 kwintali z hektara. Młodzież nauczyła się już gospodarzyć, nabrała rozmachu, rozbudowuje osiedle mieszkal-

ne, zaprowadza łazienki, projektuje budowę Domu Kultury. Wszędzie widzi się jej gospodarską rękę.

Kim była ta młodzież, nim przystąpiła do spółdzielni „Młoda Gwardia”?

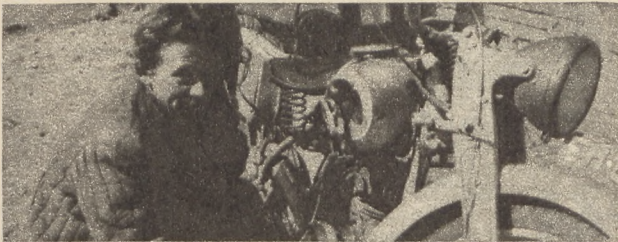
ZMP-owiec Władysław Kut jest członkiem spółdzielni od chwili jej założenia, pamięta trudne początki, okres szczególnie przezycięzonych wahań, ale najsilniej pamięta lata, gdy jako parobek pracował u kłak. Tak mu ta służba dokuczyła, że prace zmienawidził i w Wietlinie uczył się ją szanować od nowa. Pewność jutra i zespołowe rozwiązywanie zadań, pozwoliły mu odzyskać zaufanie we własne siły. Stał się człowiekiem świadomym swego celu życia.

Jest dobrze ubrany, ma wygodne i ładne mieszkanie, kupił sobie motocykl. Przy podziale rocznego dochodu oprócz zboża otrzymał 5000 złotych.

Spółdzielnia „Młoda Gwardia” wychowuje już nowych ludzi. W bytomskiej szkole górniczej znajduje się Józef Bigas, wysłany tu na naukę przez Kolo ZMP z Wietlina. Rodziców nie pamięta, od dziecka pracował u kłaków i mając lat 9 był już „doświadczonym parobkiem”. Spółdzielnię młodzieżową traktował początkowo jako przytułek, ale okazało się, że odnalazł tu rodzinę, która rozłożyła nad nim opiekę. Mówi o tym wszędzie: „Młoda Gwardia” wychowała mnie na człowieka, ona wskazała mi drogę, której przedtem nie widziałem”.

Długo trzeba by wliczać ZMP-owców z „Młodej Gwardii”. Są to ludzie, którym dopiero władza ludowa dała możliwość prawdziwego życia.

Waldemar Bałicki, Kraków



Dzięki dobremu zarobkom wielu członków spółdzielni kupiło sobie motocykle. ZMP-owiec Władysław Kut przy swojej „Jawie”

Podczas urlopu, przyszedł górnik Józef Bigas odwiedzić kolegów



### NOWA „ZEMSTA” W KRAKOWIE

Państwowy Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie wprowadził do repertuaru — po raz dwudziesty od powstania tej sceny — komedię Aleksandra Fredry „Zemsta”. Pierwsze przedstawienie odbyło się w dniu otwarcia gmachu 21. X. 1893 r.

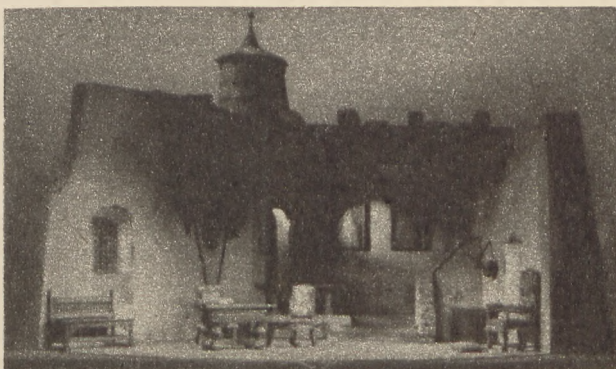
Teatr ten, reprezentujący dobre tradycje sceny polskiej, w kronikach swoich notuje niemal wszystkie utwory ojca komedii polskiej. „Zemsta” należała tam do najczęściej wystawianych utworów znakomitego pisarza. Wiele nazwisk wykonawców czołowych ról „Zemsty” w Krakowie, weszło już do historii teatru w Polsce. Wśród odtwórców postaci Cześnika widziano Kotarbińskiego, Zelwerowicza, Frenkla i Leszczyńskiego. Rejenta kreowali m. in. W. Rapacki, Sosnowski, Bończa, Karbowski, Papkina grali: Solski, Zelwerowicz, Leszczyński, Stanisławski i Feldman. Podstolina: Wojnowska, Bednarzewska, Gella i Cwiklińska. Klara były m. in. T. Trapszo, Mrozowska, Majdrowiczówna, zaś Wacławem — Mielewski, Sliwicki, J. Węgrzyn i inni. W roli Dyndalskiego występował: Kamiński, Solski i Noskowski.

Mimo tak świetnych wykonawców „Zemsta” nie zawsze cieszyła się powodzeniem przedwojennej publiczności, osiągała zaledwie kilkanaście, do 30 przedstawień. Z odświeżeniem widowni, z napływem nowego widza do teatru przedłużył się żywot tej komedii, która w ostatniej inscenizacji przekroczyła już liczbę 50 przedstawień i nadal cieszy się nieustannie powodzeniem. W okresie „Dni Krakowa” powodzenie to jeszcze wzrosło.

Sukces swój zawdzięcza utwór Fredry nie tylko udanemu wykonaniu aktorskiemu (Cześnik — E. Fulde, Rejent — T. Białoszczyński, Papkin — H. Krzyski, Podstolina — Z. Tymowska, Wacław — K. Meres, Klara — A. Karzyńska, Dyndalski — M. Jastrzębski) i ujęciu scenograficznemu (B. Kamiński), ale również odkrywczej pracy inscenizatora i reżysera — dyr. Henryka Szełtyńskiego, który oparł się na nowych studiach epoki



Od lewej Białoszczyński — Rejent, K. Meres — Wacław



Pokój w domu Cześnika

i obyczajów, równocześnie — co trzeba z naciskiem podkreślić — nie zmieniając niczego w samym utworze i nie opuszczając ani jednego słowa z tekstu Fredry.

Na podstawie badań ustalono, że akcja utworu rozgrywa się około 1800 roku. Szuszyński też wysnuł z tych dociekań historyczno-literackich właściwe wizerunki bohaterów komedii, pochodzących ze sfer średniej szlachty, a nie — jak dotąd przeważnie interpretowano — z magnaterii. Przez to konflikty ich stały się bardziej czytelne, bardziej zrozumiałe, więcej prawdopodobne.

Stąd nieraz — i słusznie — w akcję na ogół komediową wplatają się elementy dramatyczne. Stąd też nieraz zaskoczeni jesteśmy pewną odmianą postaci traktowanych inaczej niż to bywało dotąd. Ale przynajmniej trzeba, że tendencja reżysera miała swoje pełne historyczno-ideologiczne uzasadnienie i została konsekwentnie i bez zarzutu zrealizowana przez zespół aktorski.

Z tych względów krakowskie przedstawienie „Zemsty” zasługuje na uwagę teatrologów i krytyków.

Jan Barnaba, Kraków, Fot. — Nowicki

### FESTIWAL MŁODOŚCI



Grupa młodzieży prawniczej U. L., która za montaż „Naprzód młodzieży świata” nagrodzona została radioodbiornikiem i adapterem.

Było radosnie, barwnie, hucznie. Były występy taneczne, chóry, recytacje.

Na Eliminacje Centralne Studenckich Zespołów Artystycznych w Krakowie, zjechała akademicka młodzież z całej Polski. Tu właśnie wysiłek wielu miesięcy, wysiłek wielu prób, miał otrzymać ocenę i nagrodę.

Zespół Artystyczny II roku Filologii Polskiej U. L. otrzymał pierwsze miejsce na szczelnie eliminacji uczelnianej za inscenizację „Zony Modnej” Krasickiego.

Jeszcze lepiej popisali się prawnicy III roku U. L. Zostali bowiem wyróżnieni w Eliminacjach Centralnych i otrzymali jako nagrodę radio z adapterem, za montaż pt. „Naprzód młodzieży świata do walki o pokój i wolność wszystkich narodów”.

Sukces odniesiony na Festiwalu stał się dla zespołu artystycznego U. L. bodźcem do dalszej pracy. Zespół postanowił wyjechać z programem artystycznym do przodujących spółdzielni produkcyjnych i PGR. Postanowił więc zwrócić uwagę poświecając życiu kulturalnemu, więcej śpiewać, grać, tańczyć.

Trzeba koniecznie podkreślić opiekę, jaką cieszy się zespół artystyczny U. L. ze strony ZSP i ZMP. Wszędzie tam, gdzie występują się trudności, koledzy z ZSP i ZMP spieszą z radą i pomocą.

Ryszard Mieszkowski, student U. L.

### MELDUNKI



W dniu 14 maja br. Fabryka Samochodów Osobowych na Żeraniu odniosła nowy sukces. O godzinie 9 rano zjechało z taśmy pięćsetne, „ciepie” niemal jeszcze auto M-20 „Warszawa”.

Na zdjęciu spotkanie kierowców J. Dudka i M. Dudka w czasie jazdy próbnej na pięćsetnej i pięćsetpięćsetnej „Warszawie”.

Wiesław Barwicz, Żerania



Mimo że od żniw dzielą nas dwa miesiące, Państwowe Ośrodki Maszynowe kończą już (a niektóre już zakończyły) przygotowania sprzętu żniwno-omłotowego.

W POM w Międzylesiu, pow. Biała Podlaska, prace przy remoncie sнопowiązałek i młotarni są na ukończeniu.

Na zdjęciu: przodujący członkowie załogi POM w Międzylesiu — traktorzysta, Stefan Marecki (na lewo) i mechanik, Kazimierz Kolas.

Stefan Marecki, młody ZMP-owiec osiągnął w orce wiosennej 125% normy.

Feliks Praszczak, Lublin

### ODPOWIEDZI

Leon Rz., Katowice: Nadesłanych artykułów wykorzystać nie możemy. Ich charakter nie mieści się w ramach naszego działu, a poruszone przez Was tematy wymagają prac jeszcze obszerniejszych. Jak wytłumaczyć powstanie cywilizacji w 580 słowach, a w 460 powstanie mowy ludzkiej? Nie jest to możliwe bez błędów i niedopowiedzeń. Pewne interesujące nas momenty posiada artykuł „Jak powstał nałóg palenia tytoniu?” Przekazujemy to innemu działowi do oceny i ostatecznej decyzji.

M. Tieg., Legnica: Praca o kok-sagzie dawno jest wydrukowana. Proszę napisać do nas, co robi się z aklimatyzacją ryżu. Być może wysłalibyśmy do Was swego foto-reportera. Jest to również temat na reportaż. Prosimy o dalszą współpracę w naszym dziale. Jeśli idzie o dział satyry, z propozycjami zwróćcie się do sekretariatu redakcji. Najlepiej od razu z utworami.



## TRZY PORTRETY

Przełożył PAWEŁ HERTZ — Ilustrował LEON MICHALSKI

(I)

Jedną z najistotniejszych przykrości życia na wsi jest „sąsiedztwo”. Znałem pewnego właściciela ziemskiego z wologodzkiej guberni, który przy każdej nadarzającej się okazji powtarzał: „Chwała Bogu, nie mam sąsiadów”. Muszę przyznać, że nie potrafiłem nie zazdrościć temu szczęśliwcowi. Moja wioska leży w jednej z najgęściej zamieszkałych guberni rosyjskich. Otaczają mnie ze wszystkich stron liczni sąsiedzi, poczynając od poczciwych i powszechnie szanowanych właścicieli ziemskich, odzianych w obszerne fraki i jeszcze bardziej obszerne kamizele, kończąc zaś na zaprzysiężonych hulakach, noszących węgierki z długimi rękawami i patką na grzbiecie. Wśród całej tej szlachty zupełnie przypadkowo odkryłem jednak pewnego bardzo sympatycznego poczciwca, który dawniej służył w wojsku, potem podał się do dymisji i na wieki wieków osiadł na wsi. Według tego co opowiadał przesłużył dwa lata w p-m pułku; jednak całkiem nie rozumiem w jaki sposób ten człowiek mógł pełnić jakieś obowiązki nie tylko przez dwa lata, ale choćby przez dwa dni. Był z natury przeznaczony do „spokoju i do uroków ciszy wiejskiej”, czyli do leniwej, beztroskiej wegetacji, która, mówiąc między nami, nie jest pozbawiona wielkich i niewyczerpanych uroków. Mój znajomy był bardzo majętny: nie troszcząc się nazbyt o gospodarstwo wydawał około dziesięciu tysięcy rubli rocznie, miał znakomitego kucharza (a lubił dobrze zjeść), kazał sobie przysyłać z Moskwy najnowsze francuskie książki i pisma. Po rosyjsku czytał tylko raporty swojego rządy — i to z wielkim wysiłkiem. Od samego rana aż do obiadu (jeśli nie wyjeżdżał na polowanie) i w czasie obiadu nie zdejmował z siebie szlafroka, przeglądał jakieś rysunki gospodarskie, albo szedł do stajni lub na klepisko, gdzie młócono, i żartował z babami, które w jego obecności wymachiwały cepami, jak to mówią, na pokaz. Po obiedzie mój przyjaciel bardzo starannie ubierał się przed lustrem i jechał do któregoś z sąsiadów, obdarzonego dwiema lub trzema ładnymi córkami. Tam beztrosko i spokojnie nadskakiwał jednej z nich, grał z nimi w ślepą babkę, wracał do domu dość późno i natychmiast zasypiał głębokim snem.

Nie nudził się nigdy, bo nigdy nie oddawał się zupełnej beczynności. Co się zaś tyczy wyboru zajęć, to nie był zbyt kapryśny i jak dziecko cieszył się każdym głupstwem. Z drugiej strony nie odczuwał szczególnego przywiązania do życia i niekiedy, gdy gwałtownie czy lisem, puszczał swojego konia galopem po takich brzdach i wybojach, że do tej chwili nie mogę pojąć jakim cudem sto razy już sobie nie skreślił karku. Należał do tych ludzi, którzy sprawiają wrażenie, że sami nie znają swojej wartości, że pod pozorem wspaniałomyślności kryją gwałtowne i namiętne uczucia. Ale mój przyjaciel roześmiałby się wam w nos, gdyby mógł się domyśleć, że macie takie o nim mniemanie. Sam zresztą muszę się przyznać, że sądzę, iż jeśli mój przyjaciel w młodości miał nawet w sobie jakieś niejasne, ale jednak silne dążenie do czegoś, co tak miłe nazwano „czymś wyższym”, to owo dążenie od dawna w nim uspokoiło się i usnęło. Był to człowiek dość tęgi i cieszył się znakomitym zdrowiem. W naszych czasach nie można nie lubić ludzi, którzy mało myślą o sobie, ponieważ takich ludzi jest niezmiernie mało... a mój przyjaciel niemal zapomniał o swojej osobie. Zresztą zdaje się, że mówię o nim zbyt wiele — a ta moja gadanina tym bardziej jest nieostrożna, że nie on bynajmniej jest główną postacią opowiadania. Dodam tylko, że nazywał się Piotr Fiodorowicz Łuczynow.

Pewnego jesiennego dnia zjechało się u Piotra Fiodorowicza nas pięciu: wszystko zawołani myśliwi. Całe rano spędziliśmy w polu. Zaszczuliśmy dwa wilki i mnóstwo zajęcy i wróciliśmy do domu w tym przyjemnym, radosnym nastroju, jaki ogarnia każdego przyzwyczajonego człowieka po udanym polowaniu. Zmierzało się. Wiatr wznosił się wśród ciemnych pól i szumiąc chwał obnażonymi koronami brzoź i lip, które otaczały dwór Łuczynowa. Zajecharaliśmy przed ganek, zsiadliśmy z koni... Wszedłem na ganek, zatrzymałem się i obejrzałem za siebie: po szarym niebie powoli pełzły podługne chmury, szumiały żałośnie ciemnobure krzaki miotane wiatrem, żółta trawa beśsilnie i smutnie gęła się do ziemi, stada drożdów siadały na jarzębinach osypanych jasnopąsowymi koralami, na cienkich i kruchych gałęziach brzoź poświatując skakały sikory. Ogarnął mnie smutek... Ale za to z prawdziwą radością wszedłem do jadalni. Okiennice były zamknięte, na okrągłym stole, nakrytym obrusem oślepiającej białości, wśród kryształowych karafek napełnionych czerwonym winem, płonęło osiem świec w srebrnych świecznikach. W kominku wesoło palił się ogień — a stary ochmistrz o dostojnym wyglądzie, z wielką tyśną, ubrany po angielsku, stał nieruchomo pełen szacunku przed drugim stołem na którym widniała już wielka waza spowita w lekki, wonny obłok pary. W przedśionku mineliśmy czcigodnego lokaja zajętego mrożeniem szampana „według

ściśłych zasad sztuki”. Obiad, jak zwykle w podobnych okolicznościach, upłynął niezwykle przyjemnie. Śmieliśmy się serdecznie, opowiadaliśmy sobie przeróżne wydarzenia, jakie przytrafiły się na polowaniu i z zachwytem wspominaliśmy dwa wspaniałe „gony”.

Po obfitym obiedzie rozparliśmy się w szerokich fotelach przed kominkiem; na stole zjawiała się brzuchata,



srebrna waza i po chwili chybotliwy płomień płonącego rumu obwieścił nam o miłym zamiarze gospodarza, by „spreparować poncz”. — Piotr Fiodorowicz był człowiekiem nie pozbawionym gustu; wiedział na przykład, że nie tak zabójczo nie działa na wyobraźnię, jak spokojne, zimne światło lampy — toteż kazał zostawić w pokoju tylko dwie świece. Ogień migocący kapryśnie w kominku i płomień palącego się ponczu rzucały dziwaczne półcienie, które drgały na ścianach. Zamiast hałaśliwej radości, panującej podczas obiadu, ogarnął nas teraz nastrój spokojnego zadowolenia.

Rozmowy mają swoje losy — podobnie jak (według łacińskiego przysłowia) książki, jak wszystko w świecie. Nasza rozmowa była tego wieczoru jakoś niezwykle urozmaicona i ożywiona. Od rzeczy drobnych przechodziliśmy do dość istotnych zagadnień ogólnych, a potem lekko i niewymuszanie wracaliśmy znowu do spraw dnia powszedniego... Po dość długiej rozmowie nagle wszyscy umilkli. Powiadają, że w takich chwilach przelatuje anioł śmierci.

Nie wiem dlaczego ucichli moi przyjaciele, ale ja umilkłem dlatego, że zatrzymałem nagle spojrzenie na trzech zakurzonych portretach w czarnych drewnianych ramach. Farby spelżyły i gdzieś tam się przetarły, ale jeszcze można było rozróżnić rysy twarzy. Na środkowym portrecie widniała twarz młodej kobiety w białej sukni obrobionej koronką, w wysokiej koafurze z końca ubiegłego wieku. Na prawo, na zupełnie szczerbionym tle widać było okrągłą, pełną twarz poczciwego rosyjskiego ziemianina, lat może dwudziestu pięciu, o niskim, szerokim czole, kartoflowatym nosie i dobrodusznym uśmiechu. Francuska napudrowana fryzura wcale nie licowała ze słowiańskimi rysami jego twarzy. Malarz przedstawił go w purpurowym kaftanie z wielkimi strasowymi guzikami; w rękę trzymał jakiś niezwykły kwiat. Trzeci konterfekt, malowany innym, bardziej wprawionym pędzlem, wyobrażał mężczyznę może trzydziestoletniego, w mundurze z czasów Katarzyny, z czerwonymi wyłogami, w białej kamizeli, w batystowym halsztuku. Jedną ręką wspierał się na trzcinowej lasce ze złotą gałką, drugą łożył za kamizelę. Na jego pociągłej, szczupłej twarzy malowała się zuchwałość i pycha. Cienkie, długie brwi prawie zrastały się nad czarnymi jak smoła oczyma; na białych, ledwo widocznych wargach błyszczył zły uśmiešek.

— Czemuż to tak się pan wpatruje w te twarze? — zapytał mnie Piotr Fiodorowicz.

— Tak sobie — odparłem spoglądając na naszego gospodarza.

— Czy chcecie, panowie, posłuchać opowieści o tych trzech osobach?

— Ależ bardzo prosimy! — odpowiedzieliśmy chórem.

Piotr Fiodorowicz wstał, wziął świecę, oświetlił nią portrety i, tonem człowieka pokazującego dzikie bestie,

powiedział: Panowie, ta dama to Olga Iwanowna N., wychowanka mojego rodzzonego pradziadka, której nadano nazwisko Łuczynowa. Umarła niezamężna przed czterdziestu laty. Ten jegomość — ciągnął dalej, wskazując portret mężczyzny w mundurze — to sierżant gwardii, Wasilij Iwanowicz Łuczynow, który zmarł z woli boskiej w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym roku, a ten znów, z którym nie mam honoru być spokrewniony, to niejaki Paweł Afanasjewicz Rogaczew, nie mający, o ile mi wiadomo, żadnej rangi wojskowej ani cywilnej. Pozwólcie, panowie, że zwrócę waszą uwagę na otwór, znajdujący się na jego piersi, w tym miejscu gdzie jest serce. Ten otwór, jak widzicie, jest bardzo regularny, trójkątny, i zapewne nie zrobiono go przypadkiem... A teraz — mówił zwykłym tonem — zechciejcie panowie usiąść, uzbrojcie się w cierpliwość i słuchajcie.

— Panowie — zaczął Piotr Fiodorowicz — pochodzę z dość starego rodu. Nie szczycę się swoim pochodzeniem dlatego, że moi przodkowie byli strasznymi utracjuszymi. Zresztą ten zarzut nie odnosi się do mojego pradziada, Iwana Andreicza Łuczynowa, przeciwnie — mój pradziad słynął jako człowiek niezwykle oszczędny, a nawet skąpy, przynajmniej w ostatnich latach swojego życia. Młodość spędził w Petersburgu i był świadkiem panowania Elżbiety. W Petersburgu się ożenił i miał ze swoją żoną, a moją prababką, czworo dzieci — trzech synów — Wasilija, Iwana i Pawła (mojego ojca) oraz jedną córkę, Natalię. Poza tym Iwan Andreicz wziął na wychowanie córkę jednego ze swych dalekich krewnych, zupełną sierotę bez nazwiska, ową Olę Iwanownę o której wam już wspomniałem. Poddani mojego dziadka wiedzieli zapewne o jego istnieniu, ponieważ (jeśli nie zdarzyło się jakieś nieszczęście) przysyłałi mu niewielkie należności za czynsz, ale na oczy nigdy go nie widzieli. Wioska Łuczynowska pozbawiona osobistego nadzoru swojej właściciela po prostu kwitła, gdy nagle, pewnego pięknego dnia ciężka kolasa wjechała do wsi i zatrzymała się przed chatą starszego.

Chłopi wystraszeni tak niezwykłym wydarzeniem zbiegli się i ujrzeli swojego pana, panią i całe ich potomstwo z wyjątkiem najstarszego syna, Wasilija, który został w Petersburgu. Od tego pamiętnego dnia aż do samej śmierci Iwan Andreicz nie opuszczał Łuczynówki. Wybudował sobie dwór, ten sam w którym mam teraz przyjemność z panami gawędzić, wystawił także cerkiew i zaczął żyć jak na właściciela ziemskiego przystało. Iwan Andreicz był to człowiek ogromnego wzrostu, chudy i milczący, a niekiedy powolny w ruchach. Nigdy nie nosił szlafroka i nigdy nikt prócz jego kamerdynera nie widział go z niezapudrowanymi włosami. Zazwyczaj chodził założywszy ręce w tył i powoli kręcąc głową przy każdym kroku. Codziennie przechadzał się po długiej alei, którą sam własnorośnie wysadził lipami — i przed śmiercią mógł jeszcze cieszyć się cieniem owych lip. Iwan Andreicz był niezwykle oszczędny w słowach; dowodem jego miłkliwości może służyć ta niezwykła okoliczność, że przez dwadzieścia lat ani razu nie odezwał się do swojej małżonki, Anny Pawłowny. W ogóle odnosił się do niej dość dziwnie. Anna Pawłowna zarządzała całym gospodarstwem, przy obiedzie siedziała zawsze obok męża. Iwan Andreicz okrutnie ukarałby każdego, kto by ośmielił się powiedzieć jej choć jedno zuchwałe słowo — sam jednak nigdy z nią nie rozmawiał, nigdy nie ucałował jej ręki. Anna Pawłowna była nieśmiała i bla-



da, codziennie modliła się w cerkwi na klęczkach i nigdy się nie uśmiechała. Powiadano, że dawniej, do przyjazdu na wieś, oboje żyli ze sobą bardzo dobrze, przebakiwano także i o tym, że Anna Pawłowna naruszyła obowiązki małżeńskie, że mąż dowiedział się o tym wy-



stępu... Jakkolwiek by tam było — w każdym razie Iwan Andreicz nawet na łożu śmierci nie pogodził się z Anną Pawłówną. Podczas ostatniej jego choroby Anna Pawłówna nie odstępowała go na krok, ale on jakby jej nie dostrzegał. Pewnej nocy Anna Pawłówna siedziała w sypialni męża. Iwan Andreicz nie mógł zasnąć; lampa płonęła przed ikoną. Sługa mojego dziadka, Judicz, o którym nawiasem powiem wam później, wyszedł z pokoju. Anna Pawłówna wstała, przeszła przez pokój i szlochając padła na kolana przed łożem męża; chciała coś powiedzieć, wyciągnęła ręce... Iwan Andreicz popatrzył na nią — i słabym, ale energicznym głosem zawołał: „Służba!”. Służący wszedł do pokoju, Anna Pawłówna pospiesznie wstała i chwilejąc się na nogach wróciła na swoje miejsce.

Dzieci Iwana Andreicza ogromnie się go bały. Wyrosły na wsi i widziały jak dziwnie Iwan Andreicz odnosił się do żony. Dzieci bardzo gorąco kochały Annę Pawłówną, ale nie śmiały okazać tej miłości. Matka zaś jak gdyby od nich stroniła... Pamiętacie pewnie, panowie, mojego dziada. Otóż on aż do samej śmierci chodził na palcach i mówił szeptem... co może przyzwyczajenie!! Mój dziadek i jego brat, Iwan Iwanowicz, byli to ludzie prości, poczciwi, spokojni i smutni. Moja *grande tante* Natalia, jak wam wiadomo, wyszła za mąż za tepego i ordynarnego człowieka i do śmierci żywiła do niego uczucie milczącej, pokornej, owczej miłości, ale nie taki był jej brat, Wasilij. Już wam, zdaje się, mówiłem, że Iwan Andreicz zostawił go w Petersburgu. Wasilij miał wtedy lat dwanaście. Ojciec oddał go pod opiekę pewnego dalekiego krewnego, człowieka już niemłodego, kawalera, strasznego wolterjanina. Wasilij wyrósł i wstąpił do wojska. Był niewysoki, ale dobrze zbudowany i niezwykle zgrabny. Pięknie mówił po francusku i słynął z umiejętności pojedynkowania się na szpady. Uważano go za jednego z pierwszych młodzieńców w początkach panowania Katarzyny. Mój ojciec nie raz mi opowiadał, że nie znał ani jednej starszuszki, która potrafiłaby bez uczucia serdecznej tkliwości wspomnieć o Wasiliju Iwanowiczu Łucziniowie. Wyobraźcie sobie człowieka obdarzonego niezwykle siłą woli, namiętnego, a zarazem wyrachowanego, cierpliwego i odważnego, nieprawdopodobnie skrytego, niesłyszanie uprzejmego i miłego w obęjsiu... Łucziniow nie wiedział co to sumienie, dobroć, uczciwość, chociaż nikt nie mógł nazwać go zdecydowanie złym. Był ambitny, ale potrafił ukrywać swoją ambicję i namiętnie kochał niezależność. Powiadano, że kiedy czasem chcąc kogós usidłać uśmiechał się i przymrugał swoje czarne oczy, wówczas niesposób było mu się oprzeć — i nawet ludzie przekonani o jego oschłości i obojętności nie raz ulegali jego urokowi. Wasilij Iwanowicz gorliwie zajmował się sobą, innych zaś zmuszał, by czynili wszystko dla jego wygody — i zawsze mu się to udawało, bo nigdy nie tracił głowy i jeśli to było potrzebne nie brzydził się użyć pochlebstwa — a pochlebiać potrafił.

Po dziesięciu latach, które minęły od chwili, gdy Iwan Andreicz osiadł na wsi, Wasilij Iwanowicz przyjechał na cztery miesiące do Łucziniowki jako wspaniałe się prezentujący oficer gwardii i przez ten czas zdążył zawrócić w głowie nawet ojcu, posępnemu starcowi. Rzecz dziwna! Iwan Andreicz z rozkoszą słuchał opowiadań syna o niektórych jego triumfach. Bracia siedzieli przy nim jak oniemiały i patrzyli na niego z podziwem, niby na jakąś wyższą istotę. Nawet Anna Pawłówna omal nie pokochała go bardziej niż inne dzieci, tak szczerze jej oddane.

Wasilij Iwanowicz przyjechał na wieś przede wszystkim po to, by zobaczyć się z bliskimi, ale również i po to, by wydstać jak najwięcej pieniędzy od ojca. Wasilij żył w Petersburgu szeroko i wystawnie, toteż porobił mnóstwo długów. Nie łatwo mu przyszło poradzić sobie ze skąpstwem rodzica i choć Iwan Andreicz dał mu wówczas więcej pieniędzy niż wszystkim pozostałym synom w ciągu dwudziestu lat, które spędził w ojcowskim domu, Wasilij trzymał się znanego rosyjskiego przysłowia: „Jak bracie, to bracie!”

Iwan Andreicz miał służącego imieniem Judicz; był to człowiek wysoki, szczupły i milczący jak jego pan. Powiadają, że ten to właśnie Judicz był w pewnej mierze przyczyną dziwnego zachowania się Iwana Andreicza wobec Anny Pawłówny. Powiadają, że Judicz odkrył występny związek mojej prababki z jednym z najbliższych przyjaciół mojego pradziada. Zapewne Judicz głęboko żałował swojej niezręcznej gorliwości, bo trudno sobie wyobrazić lepszego niż on człowieka. Pamięć jego dotąd jest święta dla wszystkich moich ludzi z dworskiej czeladzi. Judicz cieszył się nieograniczonym zaufaniem mojego pradziada. W owym czasie ziemianie mieli pieniądze, ale ich nie oddawali na przechowanie do instytucji pożyczkowych, tylko po prostu trzymali je u siebie w kufkach, w piwnicy itp. Iwan Andreicz przechowywał wszystkie swoje pieniądze w wielkim, okutym kufku, umieszczonym pod wężłowiem jego łóżka. Kluczem od tego kufra miał przy sobie Judicz. Co wieczór, kładąc się spać, Iwan Andreicz kazał mu w swojej obecności otwierać kufer, po kolei uderzał laską w każdy po brzegi nabity pieniądźmi worek, w soboty zaś wraz z Judiczem rozwiązywał worki i skrupulatnie liczył pieniądze. Wasilij wywiadywał się o tym i zapłonął pragnieniem, by zajrzeć do tego tajemniczego kufra. W ciągu pięciu, sześciu dni z m i ę k c z y ł Judicza, czyli doprowadził biednego staruszka do tego, że ten, jak powiadają, świata nie widział poza młodym paniczem. Po takim przygotowaniu Wasilij zaczął udawać, że jest zatroskany i smutny, długo nie chciał odpowiadać na pytania Judicza, aż wreszcie powiedział mu, że przegrał w karty i że popełni samobójstwo, jeśli nie dostanie skądś pieniędzy. Judicz zapłakał, rzucił się przed nim na kolana, prosił, by panicz pamiętał o Bogu i nie gubił swojej duszy. Wasilij bez słowa zamknął się w swoim pokoju.

Balszy ciąg nastąpi

Rozmawiamy o muzyce

# O PRACY I ODWIEDZINACH

**R**OK bieżący, obfity w wielkie kulturalne rocznice, przyniósł i na terenie muzycznym kilka ważkich dat wspominkowych: 125-lecie śmierci Beethovena, 15-lecie śmierci Szymanowskiego, 80-lecie śmierci Moniuszki.

W cieniu tych rocznic toczyło się jednak dalej codzienne życie muzyczne w naszym kraju. Wypada wspomnieć przynajmniej kilka faktów spośród najważniejszych.

Państwowa Opera we Wrocławiu wystawiła balet „Czerwony mak” zasłużonego kompozytora radzieckiego — Reinholda Gliera. Opera Wrocławska to wyjątkowo ambitny teatr. Pracując w ciężkich warunkach nie idzie drogą łatwizn repertuarowych. Przeciwnie! Wybiera to, co jest najtrudniejsze do zrealizowania. Wystawiła najpierw wspaniałą, lecz i arcytrudną operę Rimskiego-Korsakowa „Złoty kogucik”, potem „Parię” Moniuszki w nowej inscenizacji, podkreślającej trafnie społeczne tło tego ostatniego, niedocenianego dzieła naszego narodowego kompozytora. Gdy jeden z czołowych współczesnych polskich kompozytorów — Tadeusz Szeliński wspólnie z dramaturgiem Romanem Brandtstätterem stworzyli operę „Bunt żaków”, to prapremiera jej odbyła się też we Wrocławiu. Wreszcie teraz „Czerwony mak”...

Akcja tego baletu opowiada o walkach wyzwoleniczych w Chinach. Choreograficznie opracował widowisko Z. Patkowski, muzycznie — K. Wiłkomirski, piękne dekoracje i kostiumy skomponował K. Frycz.

Wkrótce po „Czerwonym maku” we Wrocławiu, Opera Poznańska wystąpiła z nową inscenizacją „Straszne Dworu” Moniuszki. Ta premiera związana była z uczczeniem 45-lecia działalności artystycznej prof. Waleriana Bierdiajewa.

Jako początkujący muzyk, Bierdiajew startował z solidnych podstaw, bo miał za sobą ukończone Konserwatorium Lipskie w klasie kompozycji wielkiego Maksa Regera i w klasie dyrygentury nie mniej wybitnego na swym polu kapelmistrza — Artura Nikischa. W roku 1925 Bierdiajew wyjeżdża na zaproszenie rządu ZSRR do Związku Radzieckiego, gdzie przebywa do roku 1930, piastując m. in. stanowisko głównego dyrygenta w Operze i Filharmonii Leningradzkiej. Od roku 1930 jest dyrygentem Opery Warszawskiej i profesorem Konserwatorium Warszawskiego. Od chwili oswobodzenia kraju do 1949 r. jubilat prowadzi Filharmonię w Krakowie, a teraz Operę w Poznaniu. Piękny szmat pracy, która — poza osobistymi sukcesami Bierdiajewa — dała krajowi całe nowe pokolenie dyrygentów, wykształconych przez Bierdiajewa. Z okazji uroczystego jubileuszu, min. Dybowski odznaczył Waleriana Bierdiajewa Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Podczas gdy inne Opery grają, warszawska zamknęła się. Nareszcie! Bo powodem zamknięcia jest niezbędna gruntowna przeróbka tej prowizorycznej dotychczas sceny. Przechodnie idący ul. Nowogrodzką mogą zauważyć wielopiętrową dobudowę do gmachu „Roma”, którą



WALERIAN BIERDIAJEW

pokrywa się już żelaznymi konstrukcjami dachu. Znajdą tam pomieszczenie nowoczesne kulis teatru i nowoczesna — pogłębiona i podwyższona scena. Dzięki temu ulegnie poszerzeniu także i widownia z 900 na 1200 miejsc. Tymczasem zespół Opery Warszawskiej nie próżnuje. Na jesień przygotowują się 3 premiery równocześnie: „Halka” w reżyserii Schillera, „Cyrulik sewilski” oraz balet Prokofiewa „Romeo i Julia” w opracowaniu choreograficznym J. Gogóla, pierwszego polskiego absolwenta Wyższej Szkoły Choreograficznej w Moskwie.

Nasze sprawozdanie nie byłoby kompletne, gdybyśmy nie podkreślili zbyt mało zauważonej przez prasę, coraz intensywniejszej wymiany artystów i zespołów muzycznych oraz tanecznych, między Polską a zaprzyjaźnionymi krajami demokracji.

W ostatnim okresie gościliśmy z ZSRR: zespół solistów baletu ze wspaniałą Plisiecką na czele, pianistę Akselroda, skrzypka Wejmęna i Zespół Pieśni i Tańca Lotnictwa Radzieckiego. Z NRD mieliśmy czworo wybitnych muzyków, z CSR dwoje oraz Zespół Pieśni i Tańca Armii Czechosłowackiej. Z Węgier — Zespół Pieśni i Tańca Armii Węgierskiej, orkiestrę symfoniczną Radia Węgierskiego oraz czworo doskonałych solistów. Byli także u nas przedstawiciele muzyki rumuńskiej i bułgarskiej.

Równocześnie kraje te odwiedziło kilkunastu naszych czołowych muzyków oraz świetny chór chłopięcy Stulgrosza z Poznania i sławny już zespół „Mazowsze”. Wkrótce wyjedzie do Moskwy Opera Poznańska z „Halką” i „Strasznym Dworem”.

Fot. Arczyński i Dorys

JERZY WALDORFF

BOHATERSKA TAO-CHOA (E. Tomaszewska)



ZŁY CHIŃCZYK LI SZAN-FU (H. Tomaszewski)





# FRITZ SCHULZE artysta i bojownik



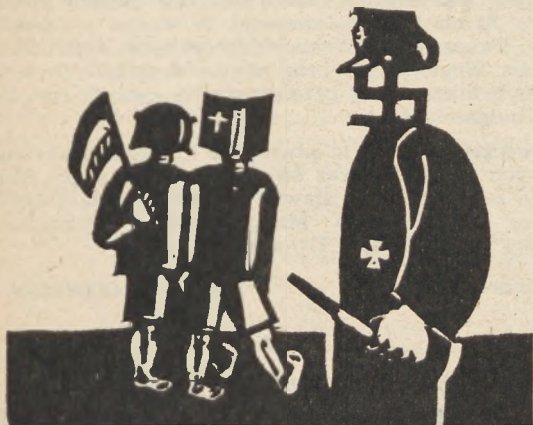
**F**RITZ SCHULZE — niemiecki malarz i grafik był komunistą. W miarę dojrzwania jego świadomości politycznej — dojrzała też jego twórczość, wstępując coraz wyraźniej na drogę służby idei. Ewolucja twórcza Fritza Schulze dokonywała się w najciemniejszym okresie historii Niemiec, w latach 1926-1940. W okresie tym Fritz Schulze tworzył obrazy olejne, akwarele, rysunki i drzeworyty — a równocześnie był aktywnym działaczem ruchu robotniczego. Aresztowany po dojściu Hitlera do władzy — został w procesie zwolniony. Uwięziony jednak ponownie w jesieni r. 1940, został skazany na śmierć i w czerwcu r. 1942 rozstrzelany. „Żyjemy teraz w czasie, w którym wiele jest śmierci — pisał Fritz Schulze w liście pożegnalnym do rodziców — w czasie, w którym tylu młodszych ode mnie poświęciło życie...”



Strajk robotników rolnych.



Spacer więzienny.



Konstytucja Rzeszy Niemieckiej.



Zebranie



Z cyklu: „Słoneczna Hiszpania”

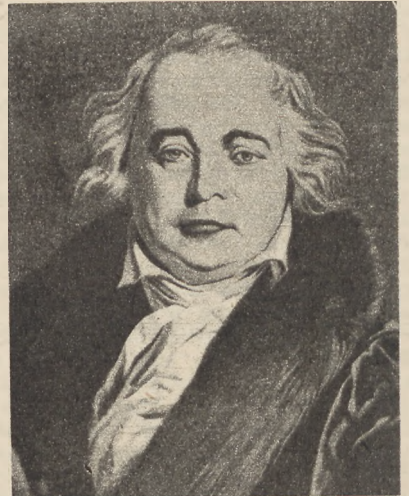


Z cyklu: „Słoneczna Hiszpania”

## ŚWIAT przypomina!

### Jak odsłonięto pomnik Kopernika?

Gdy dziś Watykan i reakcyjna część kleru popiera najciemniejsze siły imperializmu i wojny, warto przypomnieć, że taka polityka należy do starych watykańskich tradycji, do tradycji walki ze wszystkim co w świecie postępuje. Oto w „Pamiętnikach czasów moich”



JULIAN URSYN NIEMCEWICZ.

Juliana Ursyn Niemcewicza, adiutanta Kościuszki, bojownika reformy w czasie Sejmu Czteroletniego, autora „Powrotu posła”, pisarza, poety, dramaturga, taki znajdujemy ciekawy opis:

„Od roku i więcej zajmowałem się na posąg Kopernika składką publiczną, a nade wszystko hojnym przyczynieniem się niezgasłej pamięci najgorliwszego obywatela, księdza Stanisława Staszica, w Rzymie przez Thorwaldsena ulanego. Jako prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a bardziej jako miłośnik sprawy narodowej, nie żałowałem w tej mierze trudów. Pan Norblin, urodzony w Polsce, ulał ten posąg. W początkach więc maja już był do postawienia gotów, już założono fundamenta, gdzie na pergaminie w puszcze blaszanej złożono imiona prezesa i wszystkich członków towarzystwa.

Wracam do obchodu odkrycia posągu Kopernika. Odbył się on dnia 5 maja 1829; od dawna fundament i podstawa już były gotowe. Napisałem program, podług którego, jak należało, od mszy św. w kościele Św. Krzy-



POMNIK KOPERNIKA W WARSZAWIE.

ża uroczystość zacząć się miała. Cała publiczność z weselem czekała tej chwili. Całe przedmieście Krakowskie napelnione było tłumami ludu. Na gruntach domu Towarzystwa, stanęła muzyka i śpiewacy, którzy stosowny do uroczystości hymn wykonywać mieli. Zebrani wszyscy członkowie udaliśmy się do kościoła, lecz jakież było nasze zdziwienie, gdy zamówionej mszy nie zastaliśmy. Później dowiedziałem się tego przyczyny. Duchowieństwo nasze naówczas, oprócz niewielu światłych i przykładowych, dzieliło się na dwie części: na rozwiązłych i na fanatyków. Ci się wzajemnie złączywszy postanowili: że ponieważ Kopernik systematem swoim zgrzeszył przeciw Pismu św. i wyklętym został przez papieża, uczcić obchód jego mszą św. byłoby świętokradztwem. Wyszliśmy na koniec z kościoła. Stanąłem na postumencie i krótką uczyniłem przemowę, w ówczesnych gazetach znajdującą się. Zastona przykrywająca posąg spadła, zabrzmiała huczna muzyka i hymn stosowny do okoliczności, okrzyki ludu rozdzierały powietrze”.

### Ze statystyk amerykańskich

Już w roku 1931—1932 obliczono procent „dzieł” i filmów amerykańskich, propagujących zdradę małżeńską. Utwory takie w magazynach stanowiły 16%, w pismach masowych — 25%, w pismach poważniejszych — 31%. Zdradę małżeńską propagowało 45% filmów.

Już w okresie przedwojennym w mieście Detroit jeden rozwód wypadał na 3,9 małżeństw, czyli więcej niż co czwarte małżeństwo rozchodziło się. Propaganda odnosiła skutek.



# Stawomir Mrozek Rozmyślania na czterdziestym piętrze

Ilustrował ALEKSANDER STEFANOWSKI

Motto:

„Pamiętam dni, kiedy się bał, że jestem obłąkany. Kiedy budziłem się ze snu i padałem na kolana, błagając, żeby mi oszczędzono przekleństwa mego rodu. Kiedy unikałem szczęścia i wesołości, kiedy ukrywałem się w samotności przez długie, milczące godziny...”

Dickens: „Rękopis wariata”.

Więcej niż sto lat temu Dickens napisał nowelę pod tym tytułem. Czytano ją przy wesołym kominku, w pantoflach, jako „straszna” historię, z pobłażliwym uśmiechem pana Pickwicka, aby potem ziewnąć, powiedzieć wszystkim „dobranoc” i pójść do łóżka. Wtedy jeszcze czytelnik nie wyobrażał sobie, że tysiące obywateli jakiegoś kraju dosta-

o bojętne, czy to będzie obywatel Nowego Jorku czy Nowego Orleanu. Bo niepokój Johna, obywatela USA, jest zjawiskiem typowym. Zresztą nic dziwnego. Weźmy znów do ręki amerykańską gazetę, na przykład „New York Times”. Czytamy:

„Celem psychologicznym władz cywilnej obrony (przeciwlotniczej) jest wytworzenie stanu kontrolowanego niepokoju, uczucia pośredniego między obojętnością, a ukrytą paniką”.

Dr George James

z Wydziału Zdrowia Stanu New York.

Amerykańskie gazety codziennie przynoszą wiadomości z całego kontynentu. John wie, co się dzieje jednocześnie na Florydzie i w Los Angeles, i nie może zasnąć. Nie może, bo...

\*

„...Za oknem Nowy Jork, poprzerynany ognistymi wozami ulic. Boję się Nowego Jorku. Gazety piszą, że takie miasto najczęściej bywa bombardowane. Dobrze byłoby uciec z Nowego Jorku. Niedawno widziałem przez telewizję pokazowy wybuch bomby atomowej w Nevada. Nie chciałbym nigdy zobaczyć tego osobiście, na miejscu. Chciałbym wyjechać z Nowego Jorku i ukryć się, ale wczoraj czytałem „Long Island Newsday”. Piszą tam:

„...W gruncie rzeczy nie ma doprawdy miejsca, gdzie się można ukryć. A zatem, poco się biedzić nad znalezieniem go?”.

Nie ma więc o czym mówić. Boję się także gangsterów, ale gangsterzy są wszędzie. Nic dziwnego, słyszałem kiedyś przez radio wywiad z Willie Moretti, królem gangsterów w stanie New Jersey, udzielony dla Columbia Broadcasting System:

„Więćcie komunistów. Ale wsadzenie do więzienia gangsterów jest zupełnie śmieszne”.

Co tu robić? Posłuchać radia? Żeby znów usłyszeć taki wywiad? A może telewizję? Po co? — Żeby znów zobaczyć jedno ze 127 morderstw, 357 wypadków usiłowanego zabójstwa, 93 porwania dla okupu, 11 ucieczek z więzienia, 3 napiętnowania gorącym żelazem, jakie tylko w ciągu tygodniowego programu nadała jedna tylko stacja w Los Angeles? I to 72% zbrodni tylko w specjalnych programach dla dzieci? Nie jestem przecież dziecinny.

Dzieci... Bawią się właśnie w przyległym pokoju. Pracuję dla nich ciężko, jestem pracownikiem firmy wytwarzającej meble. Dzieci — ciężko jest o nie dbać. Czego się można po nich spodziewać, czego dla nich oczekiwać, gdy do-

Ha, jeżeli tak, to rację ma także sam Ike — Eisenhower, który będąc rektorem uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku powiedział:

„Potrzeba nam młodych, zdrowych ludzi zdolnych do noszenia munduru i obsługiwania działa. Podpowie to szkółom konieczność zwiększenia i usprawnienia ćwiczeń fizycznych i szkolenia zawodowego”.



A tak marzyłem, żeby moje dzieci miały inną przyszłość... Ale swoją drogą, jeżeli generałowie są rektorami uniwersytetów, to niech już moje dzieci obsługują działa. Może zostaną generałami, a generał jak widać, wszędzie się dopcha. A jeżeli tak, to czego ja mam uczyć swoje dzieci? Czy, jak każda oficjalna instrukcja armii USA dla wychowawców:

„Miej na uwadze, że uczniów przygotowuje się do walki. Instruktor powinien dokładnie i uważnie obserwować i popierać w uczniach naturalne skłonności do zabijania”. Chyba tak, bo zgadzałyby się to z inną wypowiedzią dziennikarza nazwiskiem J. Wallis: „Zabijanie — to nasz sposób udokonalenia rasy. Jest to metoda amerykańska i dlatego najlepsza”.

A więc wynika, że mam wychowywać swoje dzieci na morderców? A więc jaka jest różnica między generałem, rektorem uniwersytetu, a gangsterem? Przecież sam William O'Dwyer, były burmistrz Nowego Jorku i ambasador USA w Meksyku, powiedział przed komisją senacką:

„...Obojętne czy ktoś jest bankierem, businessmanem, czy gangsterem. Jego portfel zawsze stanowić będzie taką samą atrakcję”.

Kreśli się w głowie. Nie trudno oszaleć. Czy zaważać psychiatrę? Nie. Znaczący to sobie traktować jak psa. Przecież w „Saturday Evening Post”, która leży przede mną na stoliku, widzę ogłoszenie dla bogatych właścicieli psów: „PRODUKTY DLA PSÓW FIRMY SERCEANT sprawią, że nie będziecie potrzebowali wzywać psychiatry do waszego psa”.

A może popełnić samobójstwo? Nie można, przecież samobójstwa popełnia się tylko z dobrobytu. Przecież dosłownie tak pisała w roku 1951 „Minneapolis Morning Tribune”:

„W Japonii samobójstwa wzrosły w ciągu ostatniego roku o 13%. Jest to pewna oznaka, że poprawiła się koniunktura. Statystyka wykazuje bowiem, że gdy czasy są ciężkie, Japończycy są zbyt zaabsorbowani walką o byt, aby myśleć o samobójstwie”.

Gdzie jestem, czy już jestem w domu wariatów?

A może się wszystko poprawi? Może i na moje meble przyjdzie zbyć? Sięgnijmy po „New York Herald Tribune”, zobaczmy czy są jakieś nadzieje:

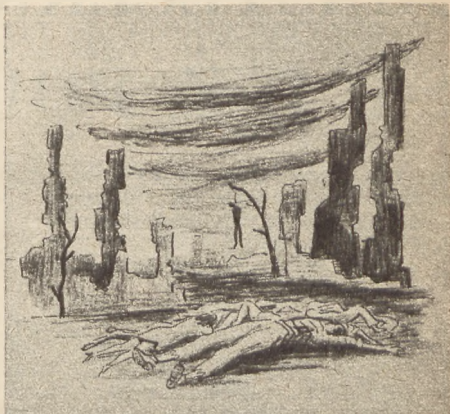
„...Wybuch wojny światowej przyniósłby, oczywiście, zmianę sytuacji. Masowe zniszczenie domów przez bombardowanie mogłoby spowodować również popyt. Mogłoby spowodować również zniszczenie fabryk mebli, co z kolei przysporzyłoby więcej pracy dla tych, którzy by ocalały. W sumie, jakkolwiek wy-

daje się, że koniunktura dla meblarzy skończyła się, to przemysł ten może oczekiwać w nadchodzących latach warunków dość zadowalających...”

Tak? A więc jestem zadowolony, dwa razy dwa jest 18, jestem Neronem, jestem Napoleonem. Poprawi się, tylko że boję się bombardowań w Nowym Jorku, że nie chcę, aby moje dzieci były mordercami, nie chcę sam ginąć. Poprawi się, kółko zamknięte, a więc wszystko od początku: Niedawno widziałem przez telewizję wybuch bomby atomowej...

\*

Myli się Dr George V. Grano. Strach nie mieści się w fotelach, ani strzyżenie trawników nic nie pomoże. Oto niezawodna diagnoza, jeszcze dwa wycinki:



„Kursy giełdowe doznały najgwałtowniejszego spadku od dnia 15 marca br. Załamania się cen przypisują maklerzy szerokiemu rozpowszechnieniu pogłosek pokojowych. Kupcy obawiają się, że wstrzymanie działań wojennych w Korei może położyć kres zbrojeniom i pozostawić czołowe firmy z ogromnymi zapasami surowców”.

„Wall Street Journal” maj 1951.

„Zawsze można przyspieszyć zbrojenia ilekroć tempo prywatnego biznesu ulegnie zwolnieniu. Można z łatwością wytworzyć histerię wojenną, która jest prawie niezawodnym środkiem uzyskania funduszy na coraz większą produkcję zbrojeniową”.

„US News and World Report” 17. II. 51.

Natomiast prawdziwego lekarstwa na obłąd nie podają dzienniki, ale zna go niemała część ludu amerykańskiego: zatrzymać zbrodniarzy, których program polityczny zamyka się w poniższym wycinku. Zatrzymać zanim spełnią do końca to, co powiedział F. Moran, szef „Bezpieczeństwa przemysłowego” na posiedzeniu ogólnokrajowej konferencji



przemysłowców amerykańskich w Nowym Jorku:

„Otoczcie fabryki drutem kolczastym, reflektorami i wieżami stalowymi, zaopatrzenie straż fabryczną w granaty ręczne, weźcie odciski palców wszystkich robotników, jeśli nie dla innych celów, to dla zastraszenia ich. Tropicie wszelką agitację na terenie fabryk...”

„Jeżeli nie dla innych celów, to dla zastraszenia ich...” Big Johnie, czy słyszysz, co o tobie mówią?



na histerii i ostry szał stanie się chorobą społeczną.

Pytanie: „Panie doktorze, wiadomości o możliwości wojny i bombardowań lotniczych wprawiają mnie zawsze w stan graniczny z histerią. Jak my, ludzie strwożeni, możemy się wyzwolić od histerii?”.

Flora V.

Odpowiedź: „Niech pani wstanie z fotela, a od razu dozna pani ulgi, gdyż strach kryje się w fotelach, a głównie przed radioodbiornikami. Niech pani napali w kominku, jeżeli jest zima, w lecie niech pani zabierze się do strzyżenia trawnika. Niech pani pozamyka okna. Niech pani wyczyści zęby”.

Dr George V. Grano.

Z amerykańskiego dziennika „The Portland Oregonian”.

To wycinek z bardzo wielu amerykańskich gazet, w roku 1952. Te słowa czyta się mając oczy pełne ognistych, ogromnych, kolorowych reklam pasty do zębów i armii USA. Te słowa przypominają również początek jakiegoś nowego „Rękopisu wariata”. Ale po tych słowach trudno jest zasnąć. Potworny wicher znad oceanu wyrwa żaluzje na czterdziestym piętrze, za oknem jarzy się Nowy Jork, to miasto w którym...

„Ujęto jednego z najmłodszych narkomanów, ośmioletniego chłopca z dzielnicy Bronx — wraz z dwunastoma innymi chłopcami. Przyczyną ich do stałego używania heroiny i marihuany. Władze dzielą młodocianych narkomanów według wieku na: „seniorów” (16 — 18 lat), „juniorów” (13 — 15 lat) i „malców” (11 — 13 lat).

„The Magazine” 21. I. 1951.

Te słowa także nie usposabiają do snu. „Co robić?” zapytuje John sam siebie.

\*

Spróbujmy odtworzyć coś w rodzaju nowego „Rękopisu wariata” — doznał człowieka, który wobec przytłaczających go nonsensów i zbrodni nie może zachować równowagi umysłu. Bohaterem dickensowskiego „Rękopisu” byłby dzisiaj nie kto inny, jak zwykły John,



rosną? Rodzice mają zawsze takie piękne marzenia... Porad, jak wychować dzieci, nie brakuje. Dr Kurt Frantl, doradca psychiatryczny Wydziału Zdrowia w Los Angeles, mówi: (Czytałem to kiedyś w „National Guardian” z 7.III. 51).

„Gdy dzieci wasze bawią się w wojnę i udają, że rzucają na siebie bomby atomowe, powinniście je do tego zachęcać. Być może, że przetrząsacie waszemu okrucieństwu i zdziczeniu, nie będziecie jednak mieli racji”.





## MIASTECZKA ZŁOTOWE SĄ JUŻ POD DACHEM

Do dziesiątego lipca ma być ukończona budowa miasteczek złotych w Warszawie. Termin ten stał się już dzisiaj realny, dzięki temu, że do pracy stanęła ochotniczo młodzież sto-

licy. Jeszcze gdzieś tam brak jest jakichś urządzeń, ale tempo pracy i prawdziwie młodzieńczy zapał są gwarancją, że wszystko będzie gotowe w przewidzianym planem czasie.



Najmłodszy obywatel miasteczka złotowego, szesnastoletni Władysław Lelujka, od pierwszych dni budowy „oceniał fachowo” postępy prac.



Do gotowych pomieszczeń kuchennych przysły właśnie potężne kotły. Będzie się w nich gotowało pożywienie dla dwustu tysięcy osób.

## „PÓLSKIE GO WYDAŁO PLEMIĘ, WSTRZYMAŁ SŁOŃCE WZRUSZYŁ ZIEMIĘ”

Dokończenie ze str. 13

„W tym znalazłszy podniętą — pisze Kopernik — zacząłem także i ja o ruchomości ziemi rozmyślać. A lubo mniemanie takie wydawało się niedorzecznym, przecież, pamiętając, że innym przede mną dozwolone było wymyślać rozmaite kółka w celu wytłumaczenia zjawisk gwiazd błękitnych (czyli: planet), sądziłem, że także i mnie wolno będzie się przekonać, azali dopuszczający pewien ruch kuli ziemskiej, nie dałoby się może dla obrotów sfer nieba wynaleźć bezpieczniejszego od szkolnych uzasadnienia”.

Ażeby jednak udowodnić, że antyczni filozofowie poszli słuszną drogą w swych badaniach kosmosu, trzeba było wprzód stwierdzić fałszywość systemu Ptolomeusza — a potem... a potem poświęcić swe całe życie żmudnym, nieskończonym badaniom i obliczeniom astronomicznym.

Biskup warmiński, Łukasz Watzelrode, nie przestaje się opiekować siostrzeńcem. Pragnie, aby poszedł on w jego ślady i wysłał go do uniwersytetu bolońskiego, gdzie sam ukończył swego czasu prawo kanoniczne. Zainteresowania astronomiczne siostrzeńca uważa za przelotną pasję młodego wieku.

Od stycznia 1497 roku jest już Mikołaj w Bolonii. Późniejszy jego uczeń, Rhetyk, zostawił nam świadectwo, w którym oparł się na słowach mistrza, że Kopernik poświęcał się tu (i to bardziej bodaj niż studiom nad prawem kościelnym) studiom astronomicznym w obserwatorium Dominika Marii Novary. I tu obala jedno z podstawowych założeń systemu Ptolomeusza. Od tej chwili tezy Aleksandryjczyka zaczęły upadać jedna za drugą, aż wreszcie cały dostojny ceter-nastowieczny system rozpadł się jak domek z kart.

Wiemy, iż wkrótce Kopernik znalazł się w Rzymie, w chwili, gdy uroczyste obchodzono tam „święty rok” — 1500. Z pewnym trudem tylko można sobie wyobrazić ową wieżę Babel wszystkich języków świata, stu tysięcy rzeszę pielgrzymów wszystkich narodowości, którzy przybyli otrzymać błogosławieństwo „urbi et orbi”, ślone światu katolickiemu z maleńkiego balkonu katedry św. Piotra i Pawła przez... Aleksandra VI Brogie, papieża — rozpustnika i — jak chce legenda — kazirodę. Jakie wrażenie na czystej, wzniosłej duszy Mikołaja musiało uczynić owe targowisko sumień, ów rynek, gdzie za garść złota można było sobie kupić odpuszczenie wszelkich grzechów, popełnionych i jeszcze niepopołnionych?... Możemy się tylko domyślać, nie wiemy o tym nic. Czy zdarzyło mu się spotkać z innym tytanem myśli, który naówczas był w Rzymie, z Leonardem da Vinci, i który — jak to niedawno stwierdzono — pisał m. in. w zostawionych przez się notatkach: „Ziemia nie znajduje się w centrum orbity słonecznej ani nie jest ośrodkiem wszechświata”?... I o tym również nic nam nie wiadomo. Życie Kopernika przypomina owe stare mapy z gęsto rozszanymi na nich białymi plamami, gdzie ręka uczciwego kartografa wypisała tylko dwa słowa: „terra incognita”. Jedyna rzecz pewna, to znów świadectwo Rhetyka, że Kopernik miał wykład w uniwersytecie rzymskim „Sapienza”, wobec audytorium, które składało się nie tylko ze studentów, ale i „z mnóstwa znakomitych mężów”. Czy podzielił się z nimi nasz astronom swym bolońskim odkryciem? Być może.

W każdym razie nie rezygnuje ze studiów we Włoszech. Po krótkim pobycie w kraju, we Frymborku (tymczasem bowiem potężny biskup zdążył już uczynić z siostrzeńca — kanonika, członka kapituły frymborskiej) — wraca znów do Italii. Tym razem studiuje medycynę w Padwie. Otrzymałszy dyplom doktorski Kopernik wraca w r. 1506 do kraju.

W ojczyźnie pozostaje już Kopernik do końca pracowitego żywota, z tego 33 lata spędza w samym Frymborku.

Nieliczne i bardzo rozrzucone w czasie dokumenty z owych czasów dają nam wyobrażenie o tym nadludzkim uporze, z jakim Kopernik budował przez blisko czterdzieści lat swój olbrzymi gmach systemu heliocentrycznego. Z obserwacji i obliczeń astronomicznych. Czynił to, mimo najbardziej niesprzyjających okoliczności i najróżnorodniejszych zajęć. Nic go jednak nie mogło oderwać od naczelnego zadania jego życia: ani praca jako sekretarza Łukasza Watzelrode z którym jeździł na wszystkie niemal sejmiki, a na których niezmiennie powracała sprawa grabieżczych najazdów Zakonu Krzyżackiego na Warmię i Pomorze; ani prace administracyjne kolejno w diecezji warmińskiej, a potem w Olsztynku; ani wreszcie jego niezwyklej doniosłości badania zagadnienia monetarnego, związanego z zalewem przez Krzyżaków rynków lichą monetą; ani trwające wreszcie przez cały czas zajęcia lekarskie.

Już to krótkie wyliczenie różnorodnych zajęć Kopernika maluje dostatecznie niezwykłą rozległość jego zainteresowań, z których żadne nie było czymś traktowanym powierzchownie. Charakteryzują go one jako jednego z najświetniejszych przedstawicieli owych niezwykłych czasów, wielkiego humanistę, któremu „nie jest obce nic, co ludzkie”. Ale nawet w tym skromnym szkicu nie wolno nam nie zatrzymać się nad tą kartą jego dzieł, w którym rysuje się obraz Kopernika jako płomiennego patrioty swego kraju. Mowa tu o obronie w r. 1520 przed Krzyżakami Olsztyna, którego administrowanie zleciła mu kapituła frymborska.

W owym czasie Kopernik był jedynym członkiem kapituły, który nie opuścił powierzchni posterunku, który w chwili, gdy cała Warmia została wydana na łup krzyżackim najeźdźcom, postanowił bronić się przed wrogiem. W napisanej przez Kopernika w imieniu kapituły skardze na Zakon, która została uroczystie przedstawiona królowi Zygmuntovi w r. 1521, nazywa on Krzyżaków „grabieżcami, mordercami i zbrodniarzami” i dwukrotnie wymienia Wielkiego Mistrza Albrechta von Hohenzollern jako moralnego sprawcę zbrodni napadów. W następnym roku Kopernik osobiście występuje na sejmie w Królewcu i domaga się, aby zakazano bić Krzyżakom w ich mennicach pieniądze, gdyż rzucają na rynki Rzeczypospolitej „podłą monetę”.

Nie ulega wątpliwości, że dzieło „O obrotach” było już gotowe na długo przed śmiercią jego autora. Przecież już w roku 1508 ukazał się w niewielkiej ilości egzemplarzy t.zw. „Mały komentarz” Kopernika, zawierający niemal wszystkie główne założenia teorii heliocentrycznej. To prawda, doświadczenia potwierdzające ich słuszność można było mnożyć w nieskończoność, ale nie to stało na przeszkodzie wielkiemu astronomowi.

Tajemnicę zwleknięcia z ogłoszeniem swej rewelacyjnej prawdy tłumaczy Kopernik sam w przedmowie do swego dzieła. Mówi o tym ze wzruszającą prostotą:

„...obawa wzgardy, na jaką bym się wystawił z powodu nowości i niepojętości moich twierdzeń, ostrzegała mnie, ażebym gotowego już dzieła całkiem zaniechał”.

Miał astronom wszelkie podstawy, aby się gwałtownych ataków ciemnoty obawiać. Toć już za jego życia było grane w Elblągu publiczne widowisko p.n. „Morosophus czyli głupi mędrcze”, gdzie starano się zołzydzić i ośmieszyć jego teorię. Już za jego życia najwybitniejsi przedstawiciele epoki, z Lutrem na czele, w prosty sposób natrząsali się z objawień „sarmackiego filozofa”!

A jednak Kopernik przełamał w końcu swą obawę przed atakami wykształconego i ciemnego kleru. W tej samej przedmowie, oddawszy hołd wdzięczności przyjaciołom, którzy zwalczali jego wątpliwości, pisze:

„Mówili, że im bardziej niedorzeczna dla wielu wydawała się teraz ta moja nauka o ruchomości ziemi, tym więcej podziwu i wdzięczności sobie zaskarbi, gdy w wydanych tych moich pismach zobaczą mgłę niepojętości, rozwianą za pomocą najoczywistszych dowodów”.

Dzieło ukazało się w r. 1543 w Norymberdze, dokąd przesłane było przez przyjaciół Kopernika. Sfałszowana przez Osian-dra przedmowa, która usiłowała przedstawić prawdę dowiedzioną przez Kopernika jedynie jako jedną z wielu możliwych hipotez, była ukoronowaniem podstępnych kno-wań, z jakimi musiał astronom walczyć. Należy sądzić, że los zaoszczędził mu tej najwęższej goryczy, jaką musiałby odczuć przy stwierdzeniu, że wrogowie jego wszelkimi sposobami usiłują ukryć jego naukę. Podanie głosi, że otrzymał on pierwszy egzemplarz swego dzieła wówczas, gdy był już nieprzytomny i na wpół sparaliżowany. Miał podobno umrzeć, kurczowo zaciskając je w rękę.

Kościół pojął i odczuł siłę ciosu zadanego mu przez uczonego, który osmielił się obalić wiarę w dogmat i na pierwszym miejscu postawił badanie przyrody i doświadczenie. Przez trzy blisko stulecia figurowała nazwa dzieła Kopernika na indeksie ksiąg zakazanych przez władze kościelne.

Takie są pokrótce wyłożone dzieje genialnego Polaka, jednego z największych rewolucjonistów myśli ludzkiej, którego Kepler nazwał „vir animo liber” — mąż wolnego ducha.

Tak, tylko człowiek wolny duchem mógł „rzucić rękawicę autorytetowi kościoła” w chwili, gdy ów kościół był jeszcze wszechwładną potęgą. Tylko człowiek wolny duchem mógł rozerwać kajdany krępujące myśl ludzką i ukazać ludziom, że myśl ich jest zdolna ruszyć z posad ziemię.

ANATOL STERN



## DEKORACJA WNĘTRZ MADE IN USA

Poniżej reprodukowujemy całokolumnowe ogłoszenie z jednego z pism amerykańskich. Reklamuje ono niezwykle zalety „wspaniałej ozdoby każdego mieszkania, biura, klubu, baru”.

A oto kilka właściwości tego zdumiewającego wynalazku, według brzmienia reklamy:

„Gdy pociągniesz za łańcuszek — papieros wystrzeli na 10 cali w górę!

„Ponieważ jest rzeczą absolutnie niemożliwą opisać wstrząsające wrażenie jakiego doznasz, mając tę niezwykłą nowość u siebie w domu, przeto postanowiliśmy umożliwić ci osobiste zapoznanie się z nią, bez żadnego ryzyka.

„Idealny prezent. Przyjaciele i krewni będą ryczeć z zachwyty gdy ofiarujesz im tę nowość w prezencie.

„Zbiornik u góry — wypełniony jest papierosami. Muszla zaś stanowi niezwyklej pojemności popielniczkę. Absolutnie wierna kopia prawdziwego urządzenia”.

I to wszystko za 2 dolara i 98 centów!

## ZNOWU TURYSĆCI...

Ci, którzy pamiętają rok 1939 i lata wcześniejsze, przypominają sobie dobrze, jak to każda zbójczą wyprawę Hitlera poprzedzał najazd „turystów” niemieckich na teren upatrzony przez Fuehrera. Paryż dzisiejszy znowu przeżywa inwazję takich właśnie turystów z Niemiec zachodnich. O ich zachowaniu i postawie w stolicy Francji pisze w sposób bardzo znamieny prawicowy dziennik angielski „The Daily Mail” w wydaniu kontynentalnym z dn. 24 maja 1952, a więc w przededniu podpisania w Bonn „układu ogólnego”, który oficjalnie wskrzesza hitlerowski „Wehrmacht”. Oto obserwacje korespondenta „Daily Mail”, p. George W. Heralda:

Wiosną 1952 Paryżanie ze ściśniętym sercem patrzą, jak ich piękne miasto staje się znowu terenem inwazji niemieckiej... Po raz pierwszy od 1945 roku tysiące teutońskich turystów przybywają nieprzerwanym strumieniem. Przybywają pociągami, autobusami i przy w t n y m i autami (podkreślenie autora). Gdziekolwiek pójda — mówią po niemiecku głośno i bez żenady, pławiąc się w swym niedawno osiągniętym dobrobycie. Wypełniają wszystkie dobre hotele, kawiarnie, restauracje i bawią się doskonale.



Rysunek z hitlerowskiego tygodnika „Berliner Illustrierte Zeitung” (20.3.1941) z cyklu „Nasi w Paryżu”.

W zeszłym tygodniu... przyjaciel zaprowadził mnie do jednej z restauracji. Naprzeciwko, przy stoliku siedziało towarzystwo, którego narodowość nie budziła żadnych wątpliwości. Przyjaciel mój spytał kelnera: Czy ci goście — to Niemcy? — na co kelner pochylił się nad nami i szepnął: „Tak jest, bardzo panów przepraszam. Chętnie wyrzuciłbym ich za drzwi”. Jak twierdzą ludzie zorientowani — reakcja ta wskazuje jasno na stan uczuć Francuzów w obliczu napływu gości, którzy przyjeżdżają przeważnie do Paryża dla odświeżenia słodkich wspomnień.

Mimo wielkich słów o jedności europejskiej — ukazuje się tak wielkiej ilości Niemców na „ich dawnych

terenach łowieckich” budzi w sercach Francuzów masę goryczy.

Zdaniem francuskich urzędników, „wiosenna inwazja” Francji posiada zupełnie zdecydowane znaczenie polityczne. Bardzo niewielu Francuzów może pojechać do Nadrenii, żeby się osobiście przekonać o odbudowie jej potencjału przemysłowego. Ale napływ turystów niemieckich daje im okazję przyjrzenia się swym ex-nie-przyjaciółom i stwierdzenia, że mają się oni lepiej i są bardziej dynamiczni niż kiedykolwiek... Wówczas Francuzi zaczynają poważnie mówić o mądrości polityki, która ustaliła kurs marki niemieckiej równy 80 frankom francuskim. Nie uznają tego, że ich sąsiedzi mogą odkupić grzechy hitlerizmu przez zwykłą pracowitość, której nie towarzyszy żadna przemiana duchowa. Wydaje im się, że jest bardzo nie w porządku polityka, która umożliwia szermierzom „Deutschland, Deutschland Ueber Alles” luksusowe podróże zaledwie po 7 latach od chwili, w której zostali pokonani „na zawsze”.

Dlatego też niemieccy goście we Francji utrudnią jeszcze bardziej ministrowi Spraw Zagranicznych Schumanowi uzyskanie większości w parlamencie, kiedy nadejdzie moment ratyfikacji układu ogólnego i traktatu o europejskiej współpracy obronnej... Zdaniem obserwatorów nawet wielu członków koalicji rządowej doszło do pewnych wniosków na temat tych układów po rozmowach ze swymi wyborcami i po tym jak ujrzeli sznury aut niemieckich, ciągnące przez Pola Elizejskie”.

## GOETHE — 2 MARKI ZA FUNT



„Klasycy na funty po 2 marki” — głosi wywieszka w zachodniopolskiej księgarni. Rynek wydawniczy w Trizonii zalany jest tak dalece szmirą amerykańską, „Comics” i romanсами kryminalnymi w oryginałach i w prze-

kładach, że dzieła klasycznej literatury niemieckiej idą na makulaturę. Można nabyć Goethego, Schillera, Heinego i innych wielkich pisarzy „po dwie marki za funt”. Jak papier do pakowania.

## Z CYKLU: I POJEDYŃCZEMU CZŁOWIEKOWI TEŻ SZKODZI



„Owiartka”



Odkąd przestał pić wódkę stał się zwierzę podobny do człowieka.



On ją pije, a ona go zjada.





## TANIO i ŁADNIE



Modele u góry to trzy bardzo ładne letnie sukienki kretonowe; z których przynajmniej jedną każda z Czytelniczek powinna sobie uszyć — zwłaszcza że nadają się do noszenia i w mieście i na wczasach.

A teraz mężczyźni: spójrzcie, jak wygląda rozsądny strój męski na lato. Przestańcie pocić się w ciężkich (przeważnie samodziiałowych lub welwetowych) marynarkach, a uszyjcie sobie (model na lewo) koszulę-bluzę z kretonu (albo z jedwabiu) z kieszeniami i „podkładką” pod kołnierzem. Model na prawo to komplet (spodnie i bluza wszyta w pasek) płócienny, względnie drelchowy. Pod bluzę wkładamy trykotową koszulkę gimnastyczną.

Nie wątpimy, że większość mężczyzn z ulgą przyjmie nasze wezwania i na ulicach Warszawy i innych miast za kilka tygodni ujrzymy wielu tak ubranych mężczyzn.

No, odważnie!..

## MECZ SZACHOWY

### „Świat” — Czytelnicy

Już w tej chwili można zauważyć, że nasze „najmłodsze” warianty, W20 i W21, wkrótce będą się mocno różnić. Tak więc otrzymamy trzy różne, i — wydaje się — dość ciekawe partie.

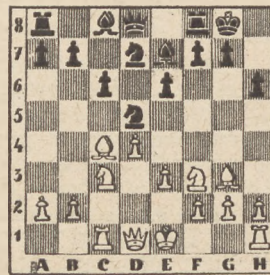
Odpowiedzi Czytelników w partii W1 były mało różnorod-

ne. Na posunięcie Sf6—d5 padło 43,2% głosów, na b7—b5 28,4%, a inne posunięcia uzyskały zaledwie po kilka procent. W partii W20 wszyscy Czytelnicy z wyjątkiem czterech zaproponowali e6:d5. Zaś w partii W21 głosy Czytelników

ków padły na 16 różnych posunięć! Najwięcej uzyskało d7—d6 (19,0%), dalej Gc8—b7 (16,7%), Hd8—h4 (13,1%), d7—d5 (10,8%) itd.

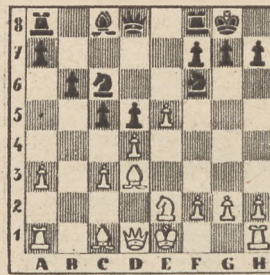
Po 11 posunięciu Redakcji trzy nasze partie przedstawiają się następująco:

#### PARTIA W1



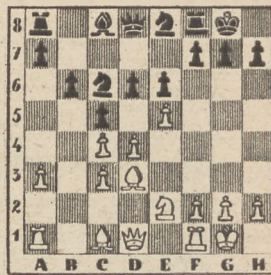
9. Gd3—c4 h7—h6  
10. Gg5—h4 Sf6—d5  
11. Gh4—g3.

#### PARTIA W20



9. e3—e4 d7—d5  
10. c4:d5 e6:d5  
11. e4—e5.

#### PARTIA W21



9. e3—e4 Sf6—e8  
10. e4—e5 d7—d6  
11. 0—0.

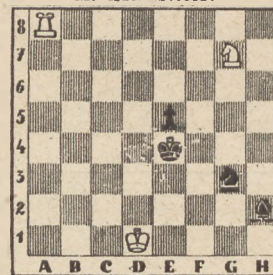
Przypominamy, że odpowiedzi na 11 posunięcie „Świata”

winni Czytelnicy wysłać najpóźniej we wtorek, 17 czerwca

b.r. Nazwiska nagrodzonych podamy za tydzień.

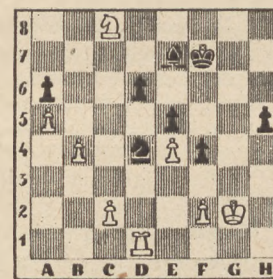
## SZACHY

### ZADANIE A 45 M. LUBURKIN



Białe zaczynają i wygrywają.

### ZADANIE B 46



W pozycji diagramu, pochodzącej z partii Smysłow — Chochłow (XVI czempionat ZSRR) białe forsownie wygrały. Jak?

#### PARTIA NR 28

grana w turnieju pamięci G. Maroczy w Budapeszcie.

Obrona polska

Białe: Stahlberg

Czarne: Petroszjan

1. d2—d4 Sg8—f6 2. Sg1—f3 c7—c5 3. d4—d5 b7—b5 4. Gc1—g5.

Po 4. c4 e6 (4... Gb7 5. a4!) powstałaby pozycja gambitu Blumenfelda.

4... Hd8—a5+ 5. c2—c3 Sf6—e4 6. Sb1—d2 Se4:g5 7. Sf3:g5 h7—h6?

Należało grać 7... e6 z dalszym Ge7.

8. Sg5—f3 d7—d6 9. e2—e4 Sb8—d7 10. a2—a4 b5:a4 11. Wa1:a4 Ha5—c7 12. Hd1—a1!

Z groźbą 13. Gb5 i Gc6.

12... Sd7—b6 13. Gf1—b5+

Gc8—d7 14. Gb5:d7+ Hc7:d7 15. Wa4—a6 Sb6—c8 16. 0—0 e7—e5.

Czarne mają trudności z zakończeniem rozwoju. 16... g6 nie było dobre ze względu na 17. e5.

17. d5:e6 (ep) f7:e6 18. Sf3—h4.

Białe wyzyskują osłabienie białych pól w obozie nieprzyjaciela.

18... Ke8—f7 19. f2—f4 Hd7—d8.

Na 19... Ge7 nastąpiłoby 20. f5! G:h4 21. f:e5+ K:e6 22. Ha2+ Ke7 23. Wf7+.

20. Sh4—f3 Hd8—e8 21. f4—f5 e6:f5 22. Ha1—a2+ He8—e6 23. Sf3—e5+! Kf7—e7 24. Se5—c6+ Ke7—d7 25. Ha2—a4!

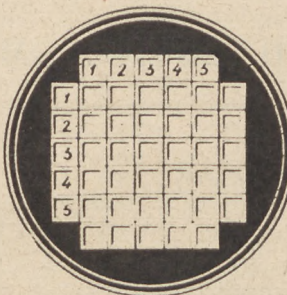
Teraz czarne nie będą mogły uniknąć odkrytego szacha. Po 25... Kc7 nastąpiłoby 26. Ha5+Sb6 27. W:b6.

25... Kd7—e8 26. e4:f5 He6—e3+ 27. Kg1—h1.

Czarne poddały się, gdyż po 27... H:d2 28. Se5+ nie unikną maty.

## ROZRYWKI UMYŚŁOWE

### MAGICZNA FIGURA



Do podanej figury wpisać 5 wyrazów siedmioliterowych o poniższych znaczeniach, tak, aby w kierunku poziomym i pionowym miały jednakowe brzmienie.

Znaczenie wyrazów: 1) Rodzaj tekstowej rozrywki umysłowej, 2) Szpital położowy, 3) Miasto na Sycylii, 4) żartobliwe naśladownictwo,

5) Związek organiczny otrzymywany z trzustki, występuje w herbacie i śledzionie. Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie 20 nagród książkowych

#### ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 17 (40)

LOGOGRYF: Pierwszy Maja (tapczan, chityna, Chetmza, jarmark, Hawajka, kaskada).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 17 (40) nagrody książkowe otrzymują:

1) S. Bednarek — Łódź, ul. Zamenhofa 4, 2) Z. Chmielewski — Gdańsk, ul. Piromowicza 1, 3) L. Chromikówna — Warszawa, ul. Grażyny 22, 4) W. Gajęska — Łódź, ul. Wólczańska 75,

5) A. Grochowska — Łódź, ul. Sterlinga 9, 6) I. Hanftwurcel — Warszawa, ul. Sienna 30, 7) F. Jesiona — Żyrardów, ul. Bohaterów 9, 8) H. Lejtan — Legnica, ul. Złotoryska 124, 9) J. Maziarz — Ozorków, ul. Zagajnikowa 35, 10) H. Mielniński — Ofic. Szkoła Mar. Woj., 11) B. Migacz — Katowice, ul. Kr. Jadwigi 12, 12) F. Nowiński — Zielona Góra, ul. Probostwo 5, 13) W. Proniewski — Falenica, ul. Kościuszki 3, 14) A. Stwińska — Bytom, ul. Matejki 12, 15) T. Skwarczyński — Wrocław, ul. Łukaszyńskiego 15, 16) J. Słowiak — Wrocław, ul. Plater 14, 17) J. Stefańczyk — Pabianice, ul. Konopna 28, 18) J. Sułowska — Sosnowiec, ul. Harcerska 12, 19) Z. Świętoń — Wrocław 2, Urząd Pocztowy, 20) J. Turczek — Lublin, ul. Dąbrowskiego 14.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

## FILATELISTYKA

### PIERWSZOMAJOWE ZNACZKI WĘGERSKIE



W dniu 1 Maja ukazała się na Węgrzech w obiegu nowa seria okolicznościowa, składająca się z trzech znaczków: 1) 40 fil. czerwony/zielony, 2) 60 fil. czerwony/brazowy i 3) 1 forint czerwony/sepia. Znaczki mają format 33x23 mm, zabkowanie 11½ x 12½, drukowane są rotografią.

Z. R.



# TEATR ŚWIAT

DIREKCJA: JAN SZELĄG DEKORACJE I KOSTIUMY: HA-GA

## Mariusz Kwiatkowski A JEDNAK MOŻLIWE (komedyjka dydaktyczna)

### SCENA I.

(Wnętrze zatłoczonego tramwaju. Wstrząs od gwałtownego zahamowania. On wchodzi obcasem na nogę młodego dziewczęcia)

ONA — (z wdziękiem) Och!...  
ON — (wykonując z wysiłkiem półobrót). Przepraszam...  
ONA — (z uśmiechem) Nic nie szkodzi...  
ON — (z lekko otwartymi ustami wpatruje się w dziewczę. Trafił snadź na swój typ kobiety)  
ONA — (uśmiecha się zachęcająco. Snadź facet, i owszem, wywarł na niej pewne wrażenie)  
ON — (po dłuższej chwili, zlekka odchrząknawszy) Ja, naprawdę, nienaumyslnie... To ten tłok.  
ONA — Ach, głupstwo! Nie ma o czym mówić.  
(Przepycha się ku wyjściu, On szybuje za nią)

### SCENA II.

(Park. Ławeczka. Świeci księżyc. Spiewają słowiki. Na ławeczce On i Ona. Siedzą przytuleni)

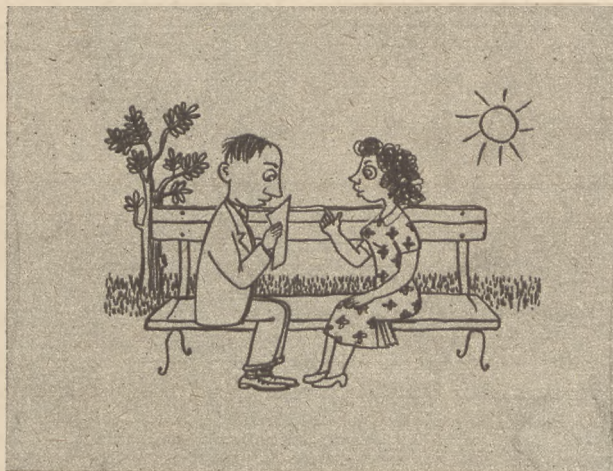


ONA — Nic z tego. Nie mogę.  
ON — I mnie jakoś nie wychodzi.  
ONA — Ja wiem, że to nie ma nic wspólnego z realizmem socjalistycznym, że powinniśmy teraz szeptać o współzawodnictwie pracy, o planach produkcyjnych...  
ON — (w rozmarzeniu) O kontraktacji żywca i szkoleniu związkowym...

ONA — Tak, a jednak, mimo obawy, że się ośmieszymy, wolę mówić o tym księżycu...  
ON — O słowikach i o maju...  
ONA — Że mi się podobasz...  
ON — Że cię kocham i chciałbym, żeby ta noc trwała wiecznie...  
ONA — O, co to, to nie! Odbieram jutro od krawcowej śliczną sukienkę. Rękawek, króciutkie kimono, spódniczka szeroka, w fałdy...

### SCENA III.

(Park. Ławeczka. Świeci słońce. Spiewają ptaszki. Na ławeczce On i Ona. Siedzą, jak siedzieć się powinno w biały dzień na ławeczce w parku publicznym)



ON — Byłem dziś w urzędzie stanu cywilnego. Już wszystko załatwiłem. Musimy tylko jeszcze dołączyć zaświadczenia z miejsca pracy.  
ONA — Podziwiał mnie jaka jestem przewidująca. Patrz. Mam już zaświadczenie.  
ON — (bierze zaświadczenie i ogląda je). Brawo, kochanie! Naprawdę, jesteś nadzwyczajna. (Raptem zrywa się z ławeczki) Nie! To niemożliwe!  
ONA — Co się stało? Co jest niemożliwe?  
ON — To niemożliwe, żebyś pracowała w tej samej fabryce, co ja. Znam przecież całą załogę, wszystkich ludzi!  
ONA — Hm... To rzeczywiście ciekawe. Bo i ja przecież znam wszystkich w naszej fabryce, wszyscy do mnie zachodzą.  
ON — Nie, nie! Coś tu jest nie w porządku. Niemożliwe, abyśmy się nie poznali wcześniej w tych warunkach... Ale, powiedz mi, co ty właściwie robisz w fabryce?  
ONA — No, wiesz! Jestem kierowniczką świetlicy. Ale kim ty jesteś, że mnie nie znasz?  
ON — Ja? Jestem dyrektorem... Dyrektorem fabryki.

### KURTyna

#### KRÓTKIE WSKAZÓWKI DLA REŻYSERA

W scenie drugiej musimy, niestety, zrezygnować z najlepszych wzorów socjalistycznego realizmu w naszej współczesnej literaturze. Gdyby nasi bohaterowie prowadzili narzucającą się w tych okolicznościach rozmowę na tematy produkcyjno - polityczne, dogadali się przedwcześnie, że pracują w tej samej fabryce. Wówczas cała scena trzecia, najmocniejsza w tej sztuce, okazałaby się zbędna.

Sztukę zaleca się wystawić wszędzie tam, gdzie kierownictwo administracyjne nie interesuje się życiem kulturalnym pracowników, czyli w licznych zakładach pracy i instytucjach.

## ANECDOTY

### DOWCIP GLADSTONE'A

Zgodnie ze starą tradycją, każde posiedzenie parlamentu brytyjskiego poprzedza krótka modlitwa. Pewnego razu znany polityk angielski William E. Gladstone (1809 — 1898), wielokrotny premier, zabrał ze sobą na posiedzenie parlamentu swoją małą wnuczkę. Dziewczynka zapytała:

— Dziadku, dlaczego odmawia się paciorków?

Na to Gladstone odpowiedział jej:

— Speaker, na widok posłów, modli się za kraj... (jg)

### POEZJA I MATEMATYKA

Jeden z poematów wybitnego poety angielskiego Alfreda Tennysona (1809 — 1892) zawiera m. in. następujące zdanie: „Co chwila umiera człowiek i co chwila jeden się rodzi”.

Wkrótce po ukazaniu się owego poematu Tennyson otrzymał od pewnego matematyka list tej treści:

„Szanowny Panie! Twierdzenie, które znajduje w Pańskim poemacie, a mianowicie: „Co chwila umiera człowiek i co chwila jeden się rodzi” — nie wytrzymuje krytyki. Pan

chyba sam przyzna, że gdyby ono było słuszne, to ludzkość utrzymywałaby się w stanie ciągłej równowagi pod względem liczebności, podczas gdy jest rzeczą stwierdzoną, iż liczba ludności naszej kuli ziemskiej stale wzrasta. Wobec tego byłoby pożądane, aby w następnym wydaniu poematu obliczenie to zostało zmienione jak następuje: „Co chwila umiera człowiek, i co chwila jeden i jedna szóstka się rodzi”. Gwoli ścisłości muszę jeszcze zaznaczyć, że dokładna cyfra wynosi 1,16749. Pewne ustępstwo jednak na rzecz rytmu można oczywiście zrobić...” (jg)

### TRZY OPINIE MINISTRA

Minister angielski Robert Peel (z pierwszej połowy ubiegłego stulecia), zapytany o opinię w jakiejś sprawie, zwykł był mówić, że ma zasadniczo trzy opinie: „Jedna to jest moja opinia oficjalna, druga to moja opinia osobista, a trzecia — moja opinia publiczna...” (jg)

### ANECDOTY O KRYŁOWIE

W rozmowie z przyjaciółmi wielki bajkopisarz rosyjski Iwan Andrejewicz Kryłow

(1768 — 1844) zapewniał kiedyś, że pierwsza przychylna recenzja któregoś z jego utworów miała decydujący wpływ na całą jego dalszą twórczość.

— Powiem wam szczerze — zaznaczył — w młodości byłem dość leniwy, a i teraz, przyznam, nie mogę się pozbyć tej wady. Pewnego razu napisałem jakąś baletkę, i czasopiśmo, które omawiało moją pracę, pochwaliło ją. To mnie zachęciło i zacząłem dalej pracować. Czy dokonałem czegoś — o tym niech wyda sąd potomność. Ale myślę, że gdyby mnie wtedy nie pochwalili owe czasopiśmo, to Iwan Kryłow nie napisałby tego, co potem napisał...

Właściciel domu, w którym Kryłow wynajmował mieszkanie, zanim otrzymał „przydział” lokalu służbowego, ułożył projekt kontraktu i przyniósł mu do podpisu.

W kontrakcie tym było m. in. zaznaczone, że Kryłow musi bardzo ostrożnie obchodzić się z ogniem, a gdyby, uchojaj Boże, dom miał spłonąć z jego winy, to Kryłow zobowiązuje się zapłacić właścicielowi wartość domu, a

mianowicie sześćdziesiąt tysięcy rubli.

Kryłow podpisał kontrakt, przy czym do sumy sześćdziesięciu tysięcy dodał jeszcze dwa zera, co w rezultacie wynosiło sześć milionów rubli.

— Proszę! — powiedział Kryłow, wręczając gospodarzowi podpisany kontrakt. — Zgadza się na wszystkie punkty. Ale żeby pan był już całkowicie zabezpieczony, umieściłem zamiast sześćdziesięciu tysięcy rubli — sumę sześciu milionów rubli. Pan będzie się czuł pewniej, a dla mnie ostatecznie wszystko jedno — bo i tak nie jestem w stanie zapłacić ani jednej ani drugiej sumy...

W pewnym towarzystwie w obecności Kryłowa rozmawiano o wielkich bogactwach niejakiego A. I. Jakowlewa, który miał ponoć przeszło sześć milionów rubli dochodów rocznie.

— No, to już jest stanowczo za dużo! — odezwał się Kryłow. — Zupetnie tak, jak gdybym sam jeden miał koldre pięćdziesiąt łokci długości i tyleż szerokości...

## Droży Czytelnicy!

Nagromadziło się w naszej teczce sporo listów na które winni jesteśmy dać Wam wyjaśniające odpowiedzi. A więc:

„Miłośnik książki” z Żyrardowa — choć niesłusznie, że nie podał swego nazwiska — ma niewątpliwie rację domagając się od „Świata”, aby podawał krótkie informacje o książkach, które ukazały się w sprzedaży. Nasz Czytelnik uważa, że jeden tylko dłuższy felieton o książce — to za mało. Jest on zwolennikiem krótkich, zwięzłych informacji o kilku książkach, co — jego zdaniem — ułatwia Czytelnikom wybór wśród dużej ilości wydawnictw z literatury polskiej i obcej. Całkowicie przychylamy się do propozycji „Miłośnika książki” i będziemy się starali zamieszczać zwięzłe oceny bieżących wydawnictw książkowych, nie rezygnując oczywiście z obszerniejszych omówień, w których można pełniej przedstawić zarówno sylwetkę pisarza jak i jego dzieło.

W pierwszych uwagach na temat Działu Sportowego wyróżnia się sprecyzowana wypowiedź ob. J. Galińskiego z Włoch, który uważa, że tygodnik naszego typu powinien publikować dużo ciekawych zdjęć zarówno krajowych jak i zagranicznych z różnych dziedzin sportu. Ob. Galiński pragnąłby również, aby nasz Dział Sportowy podawał żywe reportaże z meczów, uwzględniając w większym stopniu, niż prasa sportowa, momenty impresyjne, ogólną atmosferę itp. „Np. teraz „Świat” — pisze m. in. Ob. Galiński — mógłby zwolennikom sportu zaprezentować polskich zawodników olimpijskich, robiąc reportaż z obozów treningowych. Dowiedzielibyśmy się z takiego reportażu więcej o rozwoju i postępach naszej kadry olimpijskiej, aniżeli z podawanych przez prasę codzienną wyników, które mówią często tylko o gwałtownych zrywach naszych sportowców, ale nie orientują w ogólnym poziomie i rozwoju formy zawodników, ich pracy i pogłębianiu doświadczeń”.

Słuszne — naszym zdaniem — uwagi Ob. Galińskiego przekazaliśmy już redaktorowi działu sportowego i postaramy się, aby w najbliższym czasie tego typu reportaże ukazały się na łamach „Świata”.

Ob. Staniewska z Warszawy nie bez szczypty złośliwości pisze o różnych akcjach, które trwają przez określony czas i kończą się nagle z chwilą zerwania kartki z kalendarza z odpowiednią datą. „I tak jest też — pisze Ob. Staniewska — z akcją wiosenną na temat porządków i czystości. A czyż latem, jesienią i zimą, to już ma być nieporządknie, brudno i niechlujnie?”

Oczywiście nie!

Sprawa czystości i utrzymania właściwych warunków sanitarnych nie kończy się w kwietniu czy w maju. Walka o czystość i higienę musi być prowadzona stale. Skoro już Ob. Staniewska poruszyła ten temat, możemy zapewnić naszych Czytelników, że każdy sygnał z terenu (Uwaga! pole do popisu dla naszych fotokorespondentów!) o nieprzebrnięciu przepisów sanitarnych będzie przez nas wykorzystany, aby w ten sposób pomóc społeczeństwu w zwalczaniu niechlujstwa, które dotychczas jest jeszcze niestety żalosną tradycją wielu hoteli, barów, dworców itd. Prosimy więc o nadsyłanie spostrzeżeń (i fotografii!) na ten temat.

Dwa listy ob. Zbigniewa Wojaka (Wrocław, ul. Walecznych) zawierają słuszną uwagę w sprawie pisowni słowa pędzel, (nie pendzel, tak jak wydrukowaliśmy) i dlatego bijemy się w piersi „Zasadami pisowni polskiej i interpunkcji, ze słownikiem ortograficznym” St. Jodłowskiego i W. Taszyckiego, wydanie siódme! Co do nagrody w konkursie „Kłopoty mistrza Pędzelka” (nie — Pendzelka!) wyjaśniliśmy przecież, że jest ona przeznaczona za odpowiedź zbiorową, a nie indywidualną. To chyba jasne. Reszta uwag ob. Wojaka utrzymana jest w tonie wojowniczym, niezbyt dobrze świadczącym o znajomości formy korespondencyjnej, takcie i umiarze.

„ŚWIAT”

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY  
Redaguje Komitet  
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 7-52-50. Prenumerata miesięczna zł 4.—, — kwartalna zł 12.—, półroczna zł 24.—, roczna 48.—.  
Zakłady Wkłęsłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” — Warszawa, Okopowa 58/72 Zam. 355. Pap. rotogr. V/80-82 cm. 3-B-19187



## NA WIŚLE

RÓWNY, SILNY WIATR STWARZA IDEALNE WARUNKI DO ĆWICZEŃ ŻEGLARSKICH. OBSADA MŁODZIEŻOWEGO DOMU KULTURY WYPŁYNEŁA NA RZEKĘ, ABY PRZED REGATAMI WYPRÓBOWAĆ SWĘ UMIEJĘTNOŚCI I ZWROTNOŚĆ ŁODZI. KTO WIE, MOŻE W ZAWODACH PIERWSZA PRZYJDZIE DO METY.